

# Rozbitki



JÓZEF BLIZIŃSKI

# Rozbitki

KOMEDJA W CZTERECH AKTACH

*„Mojej żonie w upominku.”*

OSOBY:

SZAMBELANIC CZARNOSKALSKI

SZAMBELANICOWA

MAURYCY, ich syn

GABRJELA, ich córka

DZIEŃDZIERZYŃSKI

POLA, jego córka

WŁADYSŁAW CZARNOSKALSKI

KOTWICZ-DAHLBERG CZARNOSKALSKI

JAN STRASZ

ŁECHCIŃSKA

ZUZIA

MICHAŁEK, strzelec Dzieńdzierzyńskiego

LOKAJ szambelanica

PIERWSZY chłopiec z cukierni

DRUGI chłopiec z cukierni

*Rzecz dzieje się na wsi, w majątku Czarnoskalskich, z wyjątkiem aktu III, który odbywa się w Warszawie.*

# AKT I

*Polanka w lesie. Z lewej w głębi, domek leśniczego, z prawej, na przodzie ławka pod drzewem. Strona prawa i lewa rozumie się od Publiczności.*

## SCENA I

ZUZIA, MICHAŁEK stoją przed drzwiami domku. MICHAŁEK pije z dzbanka.

MICHAŁEK

*oddawszy dzbanek*

No, Bóg zapłać, to i dziad więcej nie powie. *Otarłszy usta.* A teraz do widzenia.

ZUZIA

Gdzież się tak spieszysz?

MICHAŁEK

Muszę iść, bo stary się tam skręci bezemnie... *Słysząc zdala parę chrapliwych zadęć trąbki.* O! słyszysz? rozumiesz ty to? to się znaczy, że mieliśmy się strąbić. Ale nie myśl, żeby to było takie strąbienie, jak np. arakiem... broń Boże! to się znaczy, że on trąbi na mnie i powiada: *naśladując trąbkę* Miszel! chodź sam tu! a ja mu powinienem odtrąbić: *tak samo* Idę! idę! idę!

*Dobywa z torby fajeczkę i nakłada.*

ZUZIA

To idźże już sobie, kiedy ci tak pilno...

*Odnosi dzbanek i wraca po chwili z koszykiem.*

MICHAŁEK

*który przez ten czas zapalił fajeczkę.*

A ty dokąd z tym koszykiem?

ZUZIA

Na rydze. Ty sobie, ja sobie.

MICHAŁEK

Hola, czekajno... niewiem, czy to dla ciebie bezpiecznie.

ZUZIA

A to dla czego?

MICHAŁEK

Dla tego, że ja tu dopiero co spotkałem kogoś.

ZUZIA

Cóż dziwnego? wszakże dziś polują.

MICHAŁEK

Polują, polują... ja wiem! ten też poluje, ale mnie się to polowanie nie bardzo podoba.

ZUZIA

O, nie pleć.

MICHAŁEK

Widzisz, zrozumiałaś mnie, boś raki spiekła.

ZUZIA

Co ci się śni, nawet niewiem o kim mówisz.

MICHAŁEK

Nie wiesz? doprawdy? *patrząc jej w oczy* A wasz panicz, pan Maurycy? he? spojrzij mi w oczy... *uszkazując palcem* he, he, he... a widzisz!

ZUZIA

No to cóż, że czasem do nas zajrzy? przecie moja nieboszka matka go wypiastrowała.

MICHAŁEK

Hm! wiem, wiem... ale słuchajno, już kiedy tak, to żeby przynajmniej znał się na rzeczy i pamiętał o tobie... toby było pół biedy.

ZUZIA

Jakto?

MICHAŁEK

Ano żeby było przecie czem zacząć, jak się pobierzemy.

ZUZIA

Hm, toś ty taki? nie chodzi ci o mnie, tylko o pieniądze?

MICHAŁEK

Każdemu o to powinno chodzić. Nie myśl, żebym ja cię miał namawiać na jakie złe rzeczy, boć to przecie byłoby na moją skórę... ale widzisz, kto ma rozum, to drze łyka kiedy się da.

ZUZIA

Ej, żebyś czasem nie żałował, jeżeli to mówisz naprawdę.

MICHAŁEK

*n. s.*

Udaje że się gniewa, ale dobrze, że jej powiedziałem: niech wiedzą że ja nie ślepy... może człowiekowi co z tego kapnie... *słyszał trąbkę; głośno* Masz! znowu trąbi... trza lecieć... do widzenia.

*Odchodzi na prawo.*

## SCENA II

ZUZIA, *po chwili* KOTWICZ, *później* ŁECHCIŃSKA.

ZUZIA

*sama; po chwili zastanowienia*

A to!.. czy on na prawdę mówi, czy tylko tak, żeby się czego dowiedzieć.. Co by mi nawet przez myśl nie przeszło, to on mnie sam uczy... *p. c.* Niech on jeno sobie ztego żarcików nie robi, bo jeszcze kiedy mu to na złe wyjdzie...

*Wchodzi na chwilę do domku.*

KOTWICZ

*Wchodzi z prawej strony, rozglądając się.*

Tu jest, tu go niema... Że też ja ich nie mogę nigdy zdybać razem, a wiem, że myszkuje. Sekreta przedemną... co mu się stało... Bardzobym chciał mieć czarne na białem. *spostrzegłszy ZUZIE, która wyszła zarzucając chusteczkę na głowę* O! jest jedno... pewno i drugie niedaleko, pod umówionym jaworem. *zastępując jej* Gdzież to rybca idzie? hę?

ZUZIA

Na spacer.

KOTWICZ

Ale fe! tak na pojedynek, czy ma się z kim zejść?

ZUZIA

Co panu po tej ciekawości.

KOTWICZ

*grożąc żartobliwie*

Rybciu! *Zatrzymując ją.* Muszę się dowiedzieć.

ZUZIA

*wydarłszy mu się*

O! tyle!

*Pokazuje mu figę i wybiega.*

KOTWICZ

Ta figa daje bardzo wiele do myślenia.

ŁECHCIŃSKA

*która weszła przed chwilą*

Ha, ha, ha!

KOTWICZ

*n. s.*

A ta tu co robi?

ŁECHCIŃSKA

Pan hrabia! ha, ha, ha! nie w kniei, tylko na leśniczówce... a to ładnie, słowo daję... zamiast strzelać sarny w lesie, to się tu kręci koło sarny na dwóch nóżkach.

KOTWICZ

Co kręci, kręci... niewiedzieć co!

ŁECHCIŃSKA

Jakto, nie widziałam na własne oczy? zaraz wszystkim opowiem... komu to tu świat durzyć, jak matkę kocham!.. okropność.

KOTWICZ

Ale daję słowo honoru.

ŁECHCIŃSKA

A! więc hrabia chyba komu innemu robił interesa... to już prędzej ujdzie... *n. s* no, jestem w domu.

KOTWICZ

*chodząc, kwaśno*

Teraz mnie faktorem robią.

ŁECHCIŃSKA

Tego nie powiedziałam... *do chłopca, który wnosi dwa spore koszyki i niewie co z niemi robić.* No, czegoż tu stoisz, zanieś do izby... *do KOTWICZA* śniadanie dla myśliwych... *poufnie* ale to tylko dyplomacja, bo inaczej niemiałabym z czem się zamówić.

KOTWICZ

Po co?

ŁECHCIŃSKA

Po co? nikt by nie zgadł... oto po prostu poto, żeby pilnować hrabiego.

KOTWICZ

Mnie?

ŁECHCIŃSKA

Nie inaczej, jak matkę kocham... bo hrabia taki ciężki do wszystkiego, że niech Bóg broni... może już i zapomniał, że pani sobie życzyła, aby po polowaniu przyjechali wszyscy do pałacu na obiad.

KOTWICZ

No tak, wspominała mi kuzynka. Więc cóż?

ŁECHCIŃSKA

A Strasz jest?

KOTWICZ

Jaka straż?

ŁECHCIŃSKA

O! już koncepta... Strasz, ten młody co się to teraz sprowadził do Zagrajewic, bo to o niego przedewszystkiem chodzi.

KOTWICZ

Ale fe! cóż to nowego się święci?

ŁECHCIŃSKA

Najprzód, czy jest? bo jeżeli go niemasz, to to wszystko niepotrzebne.

KOTWICZ

Ale jest, jest, i to nawet mnie zdziwiło... z kąd się wziął nie proszony? nikt go nie zna.

ŁECHCIŃSKA

*tajemniczo*

Właśnie że proszony.

KOTWICZ

Przez kogo?

ŁECHCIŃSKA

Wystaw sobie hrabia, to cała historja. Pani na bilecie wizytowym męża napisała parę słów ołówkiem, i postarałyśmy się, że mu zanesiono dziś raniutko, niby to z polowania.

KOTWICZ

Ale fe!

ŁECHCIŃSKA

Jak matkę kocham! I jakże on wygląda? przyzwoicie?

KOTWICZ

Fagas... za kamerdynera bym go nie przyjął.

ŁECHCIŃSKA

E, hrabiego to niema się co pytać, bo taki arystokrata, jak nie wiem co.

KOTWICZ

Szewcem dzięki Bogu się nie urodziłem.

ŁECHCIŃSKA

Co tam, jaki jest taki jest, dosyć że ma pieniądze.

KOTWICZ

I grube, ani słowa! po prostu milioner. *p. c. z goryczą* Dostało się w ładne ręce... mój Boże! Zagrajewice, taka pańska rezydencja.. gniazdo Zagrajewskich... to był dom, jakich dziś już niema. Jakaśmy się tam bawili! goście prawie nie wyjeżdżali... szampan lał się strumieniami.

ŁECHCIŃSKA

*z admiracją*

Jak matkę kocham, to były czasy!

KOTWICZ

Zwykle po takich bachandrjach zjeżdżano do mnie na barszczyk, z którego sływał mój kucharz. Prawda, że te barszczyki kosztowały mię tyle, że łajdak Wucherstein zlicytował mi Bębnówkę i zabrał jak swoją.

ŁECHCIŃSKA

A! to tak?... ale hrabia miał jeszcze i drugą jakąś wioskę.

KOTWICZ

Lipowiec? mam tu po nim pamiątkę. *Otwiera cienki pugilaresik, do którego Łechcińska ciekawie zagląda.* Przegrałem go na tę samą dwójkę pikową.

ŁECHCIŃSKA

Jezus! no i cóż?

KOTWICZ

A no, nic... oddałem w dwadzieścia cztery godzin... dług honorowy, trudno! *p. c.* no, ale się przynajmniej żyło i użyło po pańsku... a teraz!... pierwszy lepszy cham, prosty

wyrobnik jakiś z pod płotu... chodzi zasmolony, przy fartuchu... będzie kamienie tłukł przy drodze... później, jest! wypływa na wierzch.. krezus!... I niechże taki potrafi dom prowadzić!...

ŁECHCIŃSKA

Chyba, że go panowie nauczą, bo to tak wszystko idzie w kółko... o! *pokazuje palcem* taki tam jakiś skoro się do chrapie grosza, to nie ma spokoju póki się nie wprosi do koligacji z jakim prawdziwie pańskim domem, i te miliony znowu wracają tam, skąd je wycisnęto.

KOTWICZ

Żeby to!

ŁECHCIŃSKA

Niech mówią co chcą, pan panem zawsze będzie. Naprzykład hrabia stracił taki majątek, ale jak był tak jest hrabią, a to jest kapitał, i jaki! nie jedna majątna osoba na wydaniu, chętnieby oddała wszystko, żeby być hrabiną. Ja sama powiadam, że gdybym tak wygrała wielki los na loterii, albo gdyby mi dopisały jedne duże pieniądze — co jeszcze sekret — toby się hrabia musiał zaraz żenić ze mną, jak matkę kocham!

KOTWICZ

Ale fe! tak zaraz? na poczekaniu?

ŁECHCIŃSKA

Byłabym hrabiną... *do siebie* Jezus! dopierobym nosa zadzierać! ciekawa rzecz, jaką minę zrobiłaby na to stara szambelanicowa. *do KOTWICZA z przymileniem.* Ożeniłby się hrabia ze mną, gdybym miała pieniądze? co?

KOTWICZ

*p. c. przyjrzawszy jej się, pół żartem*  
Chyba bardzo grube.

ŁECHCIŃSKA

A co! jeszczeby grymasił, jak matkę kocham... nie powiedziałam? zaraz chce się kroców... dobre i coś.. zawsze byłby swój kąt, cóżby przyszło robić, gdyby zabrakło cudzych? przecie hrabiemu nie wypada się zaprzęgać do podłej pracy, jak jakiemu pierwszemu lepszemu. To tak, jak gdyby np. naszemu państwu kazać być czem... Jezus! taka wielka familja, od książąt, hrabiów, nawet od królów podobno... Czy to prawda, że Czarnoskalscy pochodzą od królów?

KOTWICZ

*zniechcenia*

Właściwie, to tylko ta linja, do której ja się liczę, hrabiowska, Dahlbergów, jest skuzynowaną przez Stuartów z większą częścią domów panujących... a młodsza, z której pochodzi szambelanic.. ph! niby przez Poniatowskich... ale.. w każdym razie, to już tylko... dobra szlachta... więcej nic...

ŁECHCIŃSKA

No, to i to nie bagatela! Poniatowscy... i niechżeby im przyszło co robić, pracować na życie, Jezus! oni tak przyzwyczajeni do państwa, do wszelkich wygod, czyżby to mogli przenieść? chociaż nasza pani, to święta, anielska kobieta! pełna rezygnacji, a co za matka! nie ma ofiary, którejby nie była gotową zrobić dla dzieci... bo czyż to nie prawdziwa ofiara, pozwolić panu Maurycemu żenić się z córką takiego Dzieńdziejzyńskiego? z kądże to wyszło? jakiś kupiec!

KOTWICZ

*z gorzką ironją*

Także miljoner... *p. c. zniechcenia* Te pieniądze o których pani Łechcińska wspomniała, to pewno po referendarzu.

ŁECHCIŃSKA

Być może... nie wiem.



KOTWICZ  
*machnąwszy ręką*  
Na księżycu.

ŁECHCIŃSKA  
O, bardzo przepraszam, nie na księżycu... Ah! gdyby był referendarz jeszcze trochę pożył, inaczejbym śpiewała... byłby się ożenił ze mną, jak amen w pacierzu... ale i tak mi zapisał. Zapierają mi szachrują, przekupują w sądach, ale wydobędę! wydobędę! choćby mi przyszło nie wiem co...

KOTWICZ  
I dużo to tego?

ŁECHCIŃSKA  
*n. s.*  
Pokaże się w swoim czasie... ah! jaki hrabia ciekawy... Jezus! żebym ja go też złapała. *głośno* Ale my tu gadu gadu, a nic o interesie. Niechże hrabia się postara tego Strasza sprowadzić dziś do nas koniecznie... trzeba to zrobić dla pani...

KOTWICZ  
*z godnością*  
Dla czegoż kuzynka nie raczyła wtajemniczyć mnie w powody?

ŁECHCIŃSKA  
Dla czego, dla czego... wszystko opowiem szczegółowo, tylko siadajmy, bo mi nogi ścierpły... *siadają na ławeczce po prawej* Otóż, widzi hrabia, rzecz się ma tak... *tuż za nimi pada strzał, Lechcińska z wielkim krzykiem rzuca się Kotwiczowi na szyję; on podobnież drgnąwszy, chwytą ją w pól* Jezus! jakżem się przelekleła... *spuszczając oczy i odejmując rękę* Przepraszam hrabiego... nie wiedziałam, co się ze mną dzieje...

KOTWICZ  
*nie puszczając jej*  
Ale fe! taka nieostrzelana?... *n. s.* One jednak wszystkie mają w sobie coś te kobiety... *Pada drugi strzał i zaraz po nim śmiech; oboje z krzykiem padają sobie w objęcia.*

ŁECHCIŃSKA  
*zrywając się*  
Ah! dla Boga! oni nas jeszcze postrzelą, jak matkę kocham... Uciekajmy stąd, znajdźmy sobie jaki kącik spokojny do pogadania.

KOTWICZ  
Jest racja, pójdźmy do kątku.  
*Wychodzą spiesźnie w głąb ku prawej stronie.*

### SCENA III

MAURYCY, WŁADYSŁAW, DZIĘNDZIERZYŃSKI *potem* MICHAŁEK

*Dzięndzierzyński w eleganckim stroju myśliwskim z wszystkimi przyborami, przy kor-delasie, ale mina mieszczańska; wyrazy cudzoziemskie wymawia mocno polskim akcentem.*

DZIĘNDZIERZYŃSKI  
Tak się strzela, moi panowie... cały nabój w centrum! *do WŁADYSŁAWA wskazując na MAURYCEGO, który na boku zwija papieros* *voyez vous, quel nez...* jak mu się nos wyciągnął.. nie strawi tego mojego trjumfu... ale bo też to był strzał kapitalny. *n. s.* Zkąd mi się wziął, ani wiem.. *głośno* No cóż, nic nie mówisz?

WŁADYSŁAW  
Zdziwienie odebrało mi mowę.

DZIĘNDZIERZYŃSKI  
Aha! Zdziwienie... widzisz! nie spodziewałeś się?



WŁADYSŁAW

Ale bo papka tak sobie z pod pachy strzelił.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*dotknięty*

*Comment?* jakto z pod pachy? co gadasz! czy myślisz, że nie wiem jak trzymać strzelbę? ja myśliwy!... z pod pachy!

WŁADYSŁAW

Proszę! papka myśliwy, a nie zna myśliwskiego wyrażenia. Z pod pachy, to jest z niechcienia, nie mierząc, tak sobie, o!...

*Pokazuje, podrzucając strzelbę lufą ku niemu.*

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*przechodząc na drugą stronę*

*Savez vous quoi, c'est bon!* śmiejąc się Złapałeś mnie za słówko... no! patrzcież! przecież znam doskonale... Istotnie, prawie nie mierzyłem, *je n'ai pas mesuré, ma parole...* tak sobie, paf!... to już z natury, znajcie prawowiernego szlachcica, którego nie macie żadnej racji przesładować o mieszczańskie nawyknięcia, jak sobie pozwalacie.

WŁADYSŁAW

Papko, żarty.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Jeżeli burze krajowe jednego z moich przodków wypędziły do miasta, gdzie wziął się do kupiectwa... *comme cela...* z nudów... *pour le passez-temps*, to mimo to, nie przestaliśmy być szlachtą łączyczką, piskorzami z dziada pradziada... Dzieńdzierzynscy de Kurzy-jama... Weź herbarz!

WŁADYSŁAW

Więc istotnie, dla tego papka trafił w centrum?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Comment?* a dla czegoż? dobra krew przemówiła i kwita.

WŁADYSŁAW

Fe! któż dziś wierzy w takie przesady.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Mój panie Władysławie, jakże można odzywać się w ten sposób, *comment peut on?* to świętokradztwo! *uroczyście* są rzeczy sakramentalne, których lekceważyć nie wolno. Kpijcie sobie ile wam się podoba z majątku, bo tego lada dureń może się dorobić; ale to co mamy po antenatach, imię, stanowisko, *noblesse oblige*, którego za pieniądze nie kupi, powinniśmy czcić jak świętość... Panie Maurycy, nie prawdaż? poprzez mnie.

MAURYCY

Ale czy pan go nie zna?... kontent, gdy może dowcipkować.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Masz rację... z nim nie ma szansy.

WŁADYSŁAW

Ale bo papka jest *plus pape que le pape*.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Savez vous quoi, c'est bon!*... papka *plus pape que le pape*... ha, ha, ha... to jest niby innemi słowy, że... *n. s.* co to właściwie może być? *tuż za sceną słyhać parę zadęć trąbki* a! mój Miszel.. *bierze trąbkę i dmie w nią, wydobywając tylko chrapliwe tony; za pierwszym zadęciem* MICHAŁEK *wchodzi i staje tuż przy nim.* Cóż u diabła! czy tę trąbkę kto zaczarował. *do* MICHAŁKA *Gdzieżeś ty się chował? trąbiłem, aż mnie płuca bołą.*

MICHAŁEK

Słyszałem, ale nie mogłem odtrąbić, bo upatrzyłem kota i nie chciałem go płoszyć.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Aha!

MICHAŁEK

Zaprowadzę jaśnie pana prosto do kotliny, jaśnie pan będzie miał satysfakcję.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Bon! n. s. plus pape que le pape...* muszę się spytać Poli, co to znaczy. *gł.* ale on ucieknie tymczasem.

MICHAŁEK

*ciszzej*

Nie ucieknie, bo już ze dwie godziny jakem go zastrzelił... leży pod sosną.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Cicho! *ściska mu ramię* Masz u mnie rubla, tylko tak zrób, żeby się nikt nie domyślił. *głośno* *Je vous dis*, mój Miszel, to perła między strzelcami... nieraz jem sobie śniadanie, a on przychodzi i powiada: jaśnie panie, upatrzyłem w kotlinie zająca. *Bon!* gdzie? przy borsucznych dołach; nawiasem mówiąc, pół mili drogi... *un joli morceau..* zaprzęgać! jedziemy... prowadzi mnie, ustawia w dobrym miejscu, a sam idzie prosto na kota... wystrasza go, kot pomyka... kiedy sadi w najlepsze, ja paf, paf...

WŁADYSŁAW

Kot sadi jeszcze lepiej.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*zbity z tonu*

A to jakim sposobem?

WŁADYSŁAW

No, ze strachu, cóż dziwnego.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ale nie ma czasu, bo go trafiam... koziolkuje w miejscu, i... *finita la comedia.*

WŁADYSŁAW

Dramat chyba.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

No, dla niego dramat, to prawda... ale dla mnie...

WŁADYSŁAW

Czy to papce robi przyjemność?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Comment?* to nie ma robić przyjemności?

WŁADYSŁAW

Ciekaw jestem jaką... *patetycznie* że biedne zajączysko które nikomu nic nie zawiniło, porażone z pańskiej ręki skrzeczy głosem krającym serce? to ma być przyjemność? winszuję.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*patrząc na MICHAŁKA*

Skrzeczy?

WŁADYSŁAW

Czy papka tę krwiożerczość odziedziczył w spadku po przodkach?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*n. s.*

Jużćić, że to nie musi sprawiać miłej sensacji.

MICHAŁEK

Jaśnie panie, jeżeli mamy iść, to się spieszymy, bo kot może nie dosiedzieć.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*po chwili wabania*  
A dobrześ go zabił?

MICHAŁEK

Ani zipnął.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ręczysz, że nie będzie skrzeczał?

MICHAŁEK

Chyba na rożnie.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*z fantazją do WŁADYSŁAWA*

Mów sobie co chcesz, jak się ma już żyłkę, to się ma... nie wyprujesz jej. *do MICHAŁKA*  
No, idź naprzód, *allons... do siebie plus kap... klu pak... jakże tam, a! plus papa que le papa.*

*Wychodzą na prawo. DZIEŃDZIERZYŃSKI odwodzi kurki u strzelby i trzyma ją w pogotowiu do strzału.*

## SCENA IV

MAURYCY. WŁADYSŁAW.

MAURYCY

Mój drogi, przestań też raz tej zabawki niegodnej ciebie. Nie rozumiem co za przyjemność brać na fundusz człowieka, który nawet nie potrafi się bronić.

WŁADYSŁAW

*śmiejąc się*

To tak tylko w kółku familijnem... za to po za oczy zawsze trzymam jego stronę, szanując w nim bądź co bądź zacny charakter.

MAURYCY

Twój humor drażni mnie.

WŁADYSŁAW

Dla czego?

MAURYCY

Dla tego, że ja go mieć nie mogę.

WŁADYSŁAW

A to egoizm.

MAURYCY

Tyś kontent ze wszystkiego począwszy od siebie, gdy ja nieraz miałbym doprawdy ochotę w łeb sobie pałać.

WŁADYSŁAW

Tak kiedy wolnym czasem, w braku innej rozrywki.

MAURYCY

Zaręczam ci, że nie żartuję, bywają chwile, żeby mnie to nic a nic nie kosztowało. Te kajdany, bez których kroku zrobić nie mogę, za nadto mi już ciężą.

WŁADYSŁAW

Jakie kajdany? chyba ukute w twojej wyobraźni.

MAURYCY

Zazdroszczę ci, żeś się od nich wyzwolił... jedna krew w nas płynie, a jakżeśmy daleko od siebie! te wszystkie względy, które mnie krępują, dla ciebie nie istnieją. Najswobodniejszy w świecie w swoim dworku pod słomianą strzechą, dorabia się, orze, sieje, ujada się z parobkami... i szczęśliwy! ah! gdybym ja tak mógł!

WŁADYSŁAW

Przypominasz mi tego właściciela pensjonatu, który zajadając przy uczniach kapłona, zazdrościł im kaszki na wodzie i kartofli w mundurach, mówiąc: ah! jakbym ja to jadł! To tylko obłuda mój bracie, bo gdybyś chciał, tobyś i mógł.

MAURYCY

*ironicznie*

Za twoim przykładem zakasawszy rękawy chwycić za pług, nie prawdaż?

WŁADYSŁAW

Czyżbyś nie miał do tego siły?

MAURYCY

Miałbym, gdybym był sam jeden jak ty... zapominasz, że mam rodziców.

WŁADYSŁAW

Tem silniejsza pobudka.

MAURYCY

Zatem podług ciebie, mam ich skłonić, aby sprzedali majątek, pospłacali długi i za te resztki któreby nam pozostały, kupili parę włók gruntu z chałupką pod lasem, w romantycznym położeniu, w którejbyśmy osiedli wszyscy razem i rozpoczęli sielankowy żywot dorabiając się na nowo?... ha, ha, ha, czyżby oni w tych warunkach wyżyli?

WŁADYSŁAW

A! mój drogi, już na to nie mam co powiedzieć.

MAURYCY

Dla nich całą nadzieją jestem ja! wychowali mnie na filar upadającego domu

WŁADYSŁAW

*n. s.*

Piękny filar.

MAURYCY

Przejęci wiarą, że świetna przyszłość należy nam się z prawa urodzenia, wpajali ją we mnie, kołysali bajeczką o księżniczce z djamentami, która spłynie z obłoków i odda mi swoją rękę...

WŁADYSŁAW

*ironicznie*

Aha! tymczasem zamiast księżniczki...

MAURYCY

To mnie dobija!

WŁADYSŁAW

Więc kupcówna ci nie wsmak?

MAURYCY

*unosząc się*

Że też ty z najświętszych rzeczy musisz drwić!

WŁADYSŁAW

Nie wiedziałem, że przesady kastowe są taką świętością... biję się w piersi.

MAURYCY

*j. w.*

Człowieku! czy ty nie widzisz co mnie nęka?... oto rola moja upokarzająca w tym całym stosunku. Wstydzę się jej, a nie mam na to rady. Jeżeli mi odda rękę, to w brew swojej woli, bo wpływają na nią... już nie mówię kto inny, ale własny ojciec zachwycony widokiem koligacji z nami.

WŁADYSŁAW

A ty?

MAURYCY

*po chwili*

Czyż tu o mnie chodzi?

WŁADYSŁAW

Ale powiedz że mi tak otwarcie... jesteś gotów do tej ofiary?

MAURYCY

Ofiary! wiem, że nie jeden tak to nazwie.

WŁADYSŁAW

Więc tak nie jest? MAURYCY *milczy* masz dobrą i nieprzymuszoną wolę? nie zrażają cię te malutkie względy i względziki, na które nasz świeatek tak lubi kręcić nosem?

MAURYCY

*z zapalem*

To jest anioł!

WŁADYSŁAW

*zdziwiony*

Ba! także mi gadaj!.. *po chwili* Jak się to można omylić! ja byłem pewny, że ty się przymuszasz dogadzając woli rodziców... co większa *ciszej* byłbym przysiągł, że ta mała Zuzia na prawdę cię przywiązała do siebie.

MAURYCY

*rozdrażniony*

Czy i ty zaczynasz się już bawić w babskie plotki?

WŁADYSŁAW

Jeżeli doszło coś do mnie, ręczę ci że mimo chęci.

MAURYCY

*gwałtownie*

I wierzyłeś temu? *śmiejąc się z przymusem* dziewczyna prosta, ograniczona... co za myśl, żeby zabawkę bez konsekwencji.

WŁADYSŁAW

Jakto bez konsekwencji? pozwól że to już wyrafinowany egoizm.

MAURYCY

*niecierpliwie*

Ale niemasz najmniejszej racji do moralizowania, bo to wszystko co możesz powiedzieć, ja sobie już dawno powiedziałem! Jeżeli kiedyś były z mojej strony jakie zamiary niekoniecznie godziwe, to ich żałuję.

WŁADYSŁAW

Ba!

MAURYCY

Nieposunąłem się tak daleko, żeby mi nie wolno było się cofnąć.

WŁADYSŁAW

No, chyba...

MAURYCY

I daję ci słowo, że dziś już z tego wszystkiego niema nic.

WŁADYSŁAW

Słowo honoru?

MAURYCY

Słowo honoru... nic a nic. Czyż możesz przypuszczać, żebym ja teraz jeszcze dawał powody do plotek?

WŁADYSŁAW

*po chwili*

Skoro tak, gdy kochasz Polę, więc o cóż ci chodzi?

MAURYCY

*z ogniem*

O nią! o nią!.. o jej wzajemność, szacunek, o pewność, że mną nie pogardza.

WŁADYSŁAW

Pierwsze jest wszystkim. Największą pewność będziesz miał, gdy ją rozkochasz.

MAURYCY

Z tobą nie można mówić poważnie.

WŁADYSŁAW

To jedyny środek... Zresztą, czyż to tak trudno? mój drogi, żeby cię przekonać, gotów jestem zrobić ci wyznanie... o którym dawno już myślałem, ale... jakoś... nie przyszło do tego. Cóż powiesz na to, że ja którego zasady znasz, nie wiedząc jak i kiedy, doprowadzony zostałem do tej ostateczności, że się zakochałem po uszy, i robię krok, który zimny rozum może potępić.

MAURYCY

Ej!

WŁADYSŁAW

Nie wierzysz? więc posłuchaj. Postanowiłem sobie być za prawidło ignorować kobietę o ile nie przedstawiała widoków odpowiednich moim celom. I udawało mi się to przez czas jakiś. Najokrzyczańsza piękność, skoro nie znajdowała się w warunkach dostępnych, robiła na mnie wrażenie tylko pięknego posagu. Ta uwaga, że ona nie dla mnie, była okładem z lodu, który mnie zabezpieczał najdoskonalej. Tymczasem znalazła się osoba, i notabene osoba znająca mój sposób myślenia, która uwzięła się zburzyć cały ten gmach mądrych postanowień z taką troskliwością wzniesiony... i dokazała swego. Ale ty mnie nie słuchasz i nie ciekawysz nawet dowiedzieć się, kto jest ta czarodziejka? Otóż odkryję ci tajemnicę, bo i tak w krótkce dowiedziałbyś się... Jestto... twoja siostra!

MAURYCY

*bardzo zdziwiony*

Gabrjela!

WŁADYSŁAW

Wszak niespodzianka? chowaliśmy się niemal razem od dzieciństwa, przez tyle lat patrzałem na nią jak na prześliczną kuzyneczkę, z której wdzięków byłem dumnym, ale pomyśleć oczem więcej ani mi w głowie nie powstało, bo to byłbym nazwał po prostu zawiązaniem losu nam obojgu. Wszystko to trwało dopóty, dopókim się nie przekonał, że opierać się dłużej magnetycznej sile jaką posiada spojrzenie kobiety, nie sposób; pod jej wpływem moje serce zamieniło się w wulkan.

MAURYCY

Ty, wulkan!

WŁADYSŁAW

Jak cię kocham, przeobraziła się cała moja natura. Więc widzisz! dla czegożbyś ty nie dał sobie rady z Polą, która z pewnością jest pełną najlepszych chęci, i niczego więcej nie pragnie, jak kochać. Tylko, uważasz co do nas, nie mieszajże ty się do niczego, zostaw to nam samym. Kochamy się, jak para turkawek i Gabrjeli jestem pewny, ale przewiduję trudności ze strony stryjowstwa... Ojciec jak ojciec, ale z matką najgorzej... Robiąc ci zwierzenie zapędziłem się może za daleko, stało się to pod wpływem naszej rozmowy... więc proszę cię o tajemnicę do czasu... mógłbyś wszystko zepsuć wyrywając się zbyt pośpiesznie.

MAURYCY

Mój Władku, życzę wam obojgu jak najlepiej, ale...

WŁADYSŁAW

*ściskając go*

Tylko zlituj się, żadnych uwag.

MAURYCY

Ale bo, czy ty się nie ludzisz?

WŁADYSŁAW

Gdyby tak było, to proszę cię, nie otwieraj mi oczu. Całą nadzieję złożyłem w tem złudzeniu... niech więc przynajmniej trwa jak najdłużej.

## SCENA V

*Poprzedzający, ZUZIA, KOTWICZ, STRASZ.*

ZUZIA

*w kulisie, tonem pewnej zalotności, chcąc odebrać koszyk Straszowi, który go przytrzymuje wraz z jej ręką*

Oj, oj, bo to boli!... po co pan tak ściska, cóż to znowu... niech mi pan odda koszyk.

STRASZ

Powiedziałem że ci oddam, jeżeli mi dasz całusa.

ZUZIA

*j. w.*

To, to, to... nie mam takich rzeczy na rozdawki.

STRASZ

Jakto! taka śliczna dziewczyna, i tak nieprzystępna? to grzech!

ZUZIA

Tak mnie uczyli.

KOTWICZ

*dopomagając STRASZOWI*

Ale fe! i któż taki? jeżeli pan Maurycy, to właśnie powinnaś być z tem otrzaskaną.

ZUZIA

*hardo do KOTWICZA*

A pan co sobie myśli o mnie?

KOTWICZ

Że mogłabyś nie robić ceremonji.

*przytrzymuje ją, a Strasz całuje*

ZUZIA

*krzyknąwszy*

Ah!... *p. c. do KOTWICZA z dąsem Stary!... w tej chwili spostrzegłszy MAURYCEGO, biegnie do niego zostawiając koszyk w ręku STRASZA; pomieszana, tonem jakby szukała opieki Proszę pana!*

KOTWICZ

*n. s.*

Sytuacja naprężona.

STRASZ

*zbliżając się z koszykiem, który Zuzia odbiera*

Fant wykupiony, oddaję ci... a za przestрах..

*sięga do portmonetki*

ZUZIA

*z pewną afektacją, przysuwając się do Maurycyego*

Niech mnie pan broni.

MAURYCY

*zimno, usuwając się*



Nie udawaj, moja kochana, bo nie zdaje mi się, żeby ci ta napaść robiła tak wielką przykrość.

WŁADYSŁAW

*n. s.*

Zawsze go to jednak dotknęło.

MAURYCY

A jeżeli naprawdę tak się boisz, to siedź w domu i nie biegaj po lesie kiedy wiesz, że możesz kogo spotkać.

ZUZIA

*zawstydzona*

Czyż ja wiedziałam? *p. c.* To tak zawsze, jak napastować, to każdy gotów... a do obrony nie ma nikogo.

KOTWICZ

Ale bo panowie zapewne się nie znacie... pan Strasz, nowy dziedzic Zagrajewic... sąsiad.

MAURYCY

*z dwuznaczną grzecznością*

A!... domyśliłem się tego, ujrawszy na polowaniu osobę nieznaną.

KOTWICZ

Panowie Czarnoskalscy.

STRASZ

Bardzo mi przyjemnie.

MAURYCY

*do WŁADYSŁAWA*

Idziemy?

WŁADYSŁAW

Zapewne, nie mamy tu co robić...

ZUZIA

*zmuszając się do płaczu*

Tylko człowiek się wstydu naje, nie wiedzieć z jakiej racji, i tyle.

STRASZ

*wtykając jej pieniądze do ręki*

Weźże.

ZUZIA

Niech pan sobie schowa dla innych.

*odchodzi do domku*

STRASZ

*który zrobił kilka kroków za nią; wracając*

Wiecie panowie, że to bardzo ładna dziewczyna, daję słowo... podobno córka leśniczego; tatki teraz nie ma, wartoby pójść za nią i utulić ten żal... złóżmy się jej na jakiś podarek... dobrze?

MAURYCY

*do WŁADYSŁAWA*

Chodźmy na stanowiska, może się jeszcze co trafi.

KOTWICZ

Mieliśmy się tu zejść na bigos.

WŁADYSŁAW

*przechodząc koło STRASZA, jakby do siebie*

Mała rzecz, a wstyd.

*MAURYCY i WŁADYSŁAW wychodzą na prawo.*

## SCENA VI

KOTWICZ, STRASZ.

KOTWICZ

*n. s.*

Jak oni mu będą takie finfy puszczać, to wszystko na nic się nie zda... a potem będzie na mnie.

STRASZ

*po chwili*

Mój panie, co to miało znaczyć?

KOTWICZ

Jakto? co?

STRASZ

Proszę pana, czy ja jestem smarkacz? powiedz pan.

KOTWICZ

Ale skąd znowu, przecie pan musisz być pełnoletnim.

STRASZ

Mam lat dwadzieścia pięć i niezależną pozycję. Przyznałem się panu otwarcie, że lubię kobiety, i bardzo lubię, to jest moja słaba strona... a że wyszedłem z pod kurateli, zdaje mi się, że nie mam potrzeby kryć się z tem mojem upodobaniem i wolno mi je objawić. Gdybym przebrał miarkę i obraził przyzwoitość publiczną, jest na to władza policyjna, któraby mnie wsadziła do ciupy, albo kazała zapłacić karę.. ale żeby mi jakiś tam arystokrata prowincjonalny ubliżał prawieniem morałów...

KOTWICZ

Zupełnie pana nie rozumiem; o cóż chodzi?

STRASZ

Pomijam niegrzeczne obejście się tych panów, chociaż zdaje mi się, że kiedy kto mówi do mnie, przyzwoitość nakazuje odpowiedzieć — ale co znaczyło to: „mała rzecz, a wstyd” które jeden z nich powiedział odchodząc?

KOTWICZ

Nie słyszałem.

STRASZ

To było wymówione z akcentem, panie, i musiało mnie obrazić... Wdzięczny panu jestem za zaproszenie, ale korzystać z niego nie myślę. Ja nie jestem pierwszy lepszy, panie, żebym mógł słuchać impertynencji i znosić fupy jakichś tam półpanków,

KOTWICZ

*n. s.*

O, jakiś drażliwy. *głośno* Ale panie, panie, jaki pan jesteś niedomyślny... a warszawiak!... Gdzież tu chęć obrażenia; to była prosta zazdrość, a w takich razach trzeba być wyrozumiałym.

STRASZ

Jakto, zazdrość...

KOTWICZ

Czyż potrzebuję panu tłumaczyć?... Wkraczałeś pan na cudze terytorjum, przywłaszczałeś sobie prerogatywy osób trzecich...

STRASZ

Aha! teraz rozumiem... więc ta dziewczyna?...

*Zapytuje wzrokiem.*

KOTWICZ

*odpowiada podobnież*

Emhę!

STRASZ

Kiedy tak, to co innego... *p. c.* Ale zawsze kwituję z tych stosunków... jest coś co mi się nie podoba... po co mi się cisnąć do wysokich progów... najlepiej niech swój z swoim przestaje... ot, jak my na przykład... z panem ja jestem swobodnym, jakbyśmy się znali Bóg wie odkąd... Ale! powiedz mi pan, jakiż pan masz tytuł zapraszać mnie do tych państwa?

KOTWICZ

Bardzo prosty... jako ich krewny.

STRASZ

Nie może być! pan jesteś ich krewnym? nie wiedziałem.

KOTWICZ

*z pańska*

Miałem zaszczyt rekomendować się przy poznaniu.. Kotwicz-Dahlberg Czarnoskalski.

STRASZ

Także Czarnoskalski? nie uważałem, daję słowo.. Kotwicz-Dahlberg, Dahlberg... a, a, a... to pan, co to go nazywają hrabią... teraz wiem... *n. s.* Hrabia von Habenichts.

KOTWICZ

*urażony*

Skoro nazywają, zdaje mi się że jest do tego prawo... jestem z starszej linii.

STRASZ

*n. s*

Jakto szydło wylazi z pustego worka. *głośno* A, to mocno przepraszam.. ja bo myślałem, że to tak sobie na żarty. Mnie, w kawiarni u Andzi na Trębackiej nie nazywano inaczej tylko hrabią... prawda, że właśnie wtenczas spadła na mnie ta sukcesja.

KOTWICZ

Ph!... w knajpie uchodzą takie koncepta.

STRASZ

*dotknięty*

Ale za to nie uchodzi wiele rzeczy, które muszę znosić w salonie.

KOTWICZ

Także porównanie!

STRASZ

Przedewszystkiem używam przyjemności otwarcie, nie potrzebując grać komedji i jestem panem za swoje trzy grosze.

KOTWICZ

Ha, są gusta i guściska... Ale jako wielbiciel kobiet, gdzież pan szukasz ich towarzystwa? bo kobietę, tak jak się ją pojmuje idealnie, może wyhodować tylko atmosfera salonu.

STRASZ

A, wiesz!... ha, ha, damy salonowe... czyż to są kobiety?

KOTWICZ

A cóż?

STRASZ

Jakieś istoty zagadkowe, z obliczem sfinksów, sercem pełnym niestworzonych zachceń a z pretensjami na aniołów.

KOTWICZ

Gdzieżeś je pan miał sposobność tak studiować?

STRASZ

Teoretycznie, za pomocą patologii, bo to wszystko się tłumaczy stanem chorobliwym. U Andzi był jeden doktor medycyny, młody chłopak świeżo wyszły z uniwersytetu.. no! co ten nam nagadał o kobietach, to proszę było słuchać... *stanowczo* hrabia nie znajdziesz w salonach jednej kobiety zdrowej.

KOTWICZ

Ale fe!

STRASZ

To jest fakt. Więc co mi za przyjemność... ja nie szukam jakiegoś pół bożyszczka, przed którym musiałbym chodzić na palcach, tylko kobiety z krwi i ciała, o której byłbym przekonany, że nie dostanie spazmów, gdy jej powiem słowa prawdy bez obwijania w bawełnę... chcę zdrowej natury a nie sztuki. Ot na przykład, ta tutaj dziewczyna, to rozumiem..

KOTWICZ

Pod tym względem gusta młodych ludzi zmieniają się... zobaczmy, co pan powiesz o tem za miesiąc...

STRASZ

Dla czegoż za miesiąc?

KOTWICZ

No, niby mniej więcej, gdy się porobi stosunki, gdy pan żyjesz się z naszym towarzystwem, i spotkasz w niem zdrowe natury.

STRASZ

*miętko*

Kiedy ja nie mam do tego najmniejszej ochoty.

KOTWICZ

To prosty obowiązek, panie.

STRASZ

*skromnie*

Nie myślę się narzucać.

KOTWICZ

Narzuca się ten, kto może mieć wątpliwość jak będzie przyjętym... ale pan nie jesteś, jak sam powiedziałeś, jakiś tam pierwszy lepszy.

STRASZ

No, zdaje mi się... taki majątek jak moje Zagrajewice piechotą nie chodzi.

KOTWICZ

*n. s pociągając nosem*

Jak zaleciał parweniusz. *głośno* Więc jedziesz pan z nami do Czarnoskały, i kwita!.. i tak nie dziś to jutro trzeba to zrobić, tego pan nie unikniesz... stanowisko pańskie to nakazuje.

STRASZ

Hm! subjekcja... przyznam się, że mi nie pilno... *spoglądając po sobie* Zresztą, czyż tak mogę?

KOTWICZ

Nie masz pan się w co przebrać?

STRASZ

Wziąłem tużurek na wszelki wypadek.

KOTWICZ

Ano!

STRASZ

Ale nie wiem, czy to uchodzi tak z polowania... nie byłem z wizytą etykietalną.

KOTWICZ

Złożysz ją pan później, nic nie szkodzi.

STRASZ

Ha, kiedy nic nie szkodzi... to jazda!... *n. s.* Co tam!

KOTWICZ

*n. s.*

No, ja swoje już zrobiłem

*wchodzi z prawej strony Łechcińska, przywołuje gestem Kotwicza i zamieniuwszy z nim kilka słów, wchodzi do domku.*

STRASZ

*po chwili, n. s.*

Puszczam się na bystrą wodę! *p. c.* No i niechże mi kto powie, kiedy ja byłem na swoim miejscu, czy wtenczas gdy jako gryzpiórek sądowy wieszałem psy na arystokracji, czy dziś, gdy jestem tak słabym, że mnie te zaprosiny polechtały? Głupia natura ludzka, dają słowo: czuję formalnie jakiś nastrój uroczysty... *p. c.* Żeby się tylko nie pośliznąć na tych woskowanych posadzkach!... ale prawda! to za coby dependentowi pokazano drzwi, ujdzie dziedzicowi Zagrajewic... nie ma kłopotu.

## SCENA VII

KOTWICZ, STRASZ, SZAMBELANIC, MAURYCY, WŁADYSŁAW, *później* DZIEŃDZIERZYŃSKI

SZAMBELANIC

Nie! teraz jest niemożliwym polowanie w swoim własnym lesie, słowo uczciwości daję.. komunizm jakiś, zuchwałstwo bez granic... Co to był za jeden?

WŁADYSŁAW

*śmiejąc się*

Pisarz wójta.

SZAMBELANIC

*oburzony*

Nie może być! No patrzcież, i taki fągas, panie, pozwolił sobie zająć stanowisko obok mnie, za pan brat... Lis szedł prościusienko na mnie, wtem jak go poczuł..

WŁADYSŁAW

Za pozwoleniem, bo to jeszcze pytanie kogo on poczuł... może nie jego, tylko właśnie stryja.

SZAMBELANIC

*niecierpliwie*

Jakże chcesz... palił jakieś śmierdzące cygaro i nadto jeszcze przygwizdywał sobie, bo to jest!... na stanowisku, gdy psy gonią, słyszeliście co podobnego?... Złości mnie porwały... wołam: cicho, tam! a ten zdejmuje czapkę i powiada: moje uszanowanie panu dobrodziejowi.. jeszcze mi się błazen kłania.

WŁADYSŁAW

No, grzeczny, cóż stryj chce.

SZAMBELANIC

Mój Władysławie, nie dowcipkuj kosztem zdrowego sensu, a przede wszystkim nie pozuj na demagoga, bo ja cię dobrze znam.

STRASZ

*poufale, stając przed SZAMBELANICEM*

To pewno ten sam lis był, co wyszedł później na mnie... nie wiedziałem nawet że to lis, ale domyślałem się po ogonie.

SZAMBELANIC

*zdziwiony*

A!... *n. s.* A toż znowu kto.. (głośno) Z kimże mam szczęście?

KOTWICZ

*n. s.*

A to palną! *głośno* Przedstawiam kuzynowi naszego nowego sąsiada... pan Strasz, dziedzic Zagrajewic z przyległościami.

SZAMBELANIC

*rozweselając się*

Aha! to pan jesteś..

KOTWICZ

Pan Szambelanic Czarnoskalski..

STRASZ

*podając rękę*

Bardzo mi przyjemnie.

SZAMBELANIC

*drwiąco, podając palce*

A! i mnie także... nie wiedziałem, że przybył w sąsiedztwo taki myśliwy... Więc jakże to było z tym lisem?

STRASZ

A no, ja stałem, a on przyszedł do mnie... ot tak blisko...

SZAMBELANIC

I nie strzelił pan?

STRASZ

Myślałem, że to był pies... chciałem nawet na niego zawołać, bo bardzo lubię psy, ale skorom się poruszył zniknął mi, tylko zobaczyłem ogon ogromnie długi.

SZAMBELANIC

*z drwiącą powagą*

No, to oczywiście był lis.

WŁADYSŁAW

*do MAURYCEGO*

Wiesz ty, że on paradny sobie.

SZAMBELANIC

*oglądając STRASZA*

Dubeltóweczka ładna bo ładna...

STRASZ

Dałem za nią dwieście rubli... lepażówka.

SZAMBELANIC

Widzę, widzę, caca... z tem wszystkim, wielkiej szkody zwierzynie pan nią nie zrobi.

STRASZ

Bo też mnie o to nie chodzi *poufale* Za to na inną zwierzynę to ja jestem majster.

SZAMBELANIC

Naprzykład?

STRASZ

Jaką pan szambelanic masz dziewczynę w tym tu domku, to dawno nie zdarzyło mi się spotkać.

SZAMBELANIC

*obrażony*

Cóż to za koncept?

MAURYCY

Ojczy, mieliśmy jechać.

SZAMBELANIC

*wyniośle z gestem*

Padam do nóg! *n. s.* Przyznam się, że trochę zanadto poufałości...

*Idą w głąb.*

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*wchodząc z zajęcem przy torbie*

No, gdzie? dokąd?... *quousque tandem?* już odjeżdżacie? jakżeż można, *comment peut on!* ja w najlepsze zaczynam, jestem w sztosie... patrzcie, *quel* zajęc!

WŁADYSŁAW

I po co to samemu dźwigać, zamiast oddać strzelcowi.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Savez vous quoi, c'est bon!*... kot moją własną ręką zabity? nie czuję ciężaru... ja to noszę, jak znak honorowy... *spozrzęglszy* STRASZA, *do* KOTWICZA *Qui es-ki-e-sa ce monsieur?*

KOTWICZ

Strasz z Zagrajewic.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

A! sąsiad, sąsiad *idzie do* STRASZA *podając mu obie ręce; nagle wpatrując się weń, n. s.* Jak on mi przypomina...

STRASZ

Pan Dzieńdzierzynski?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Pan mnie znasz?

STRASZ

Doskonale... Miałeś pan handel kolonjalny na miodowej uiicy.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*n. s.*

To ten sam... *głośno* Tak... z amatorstwa... bawiłem się... *zaambarasowany Pardon...* *patrzy na zegarek* już tak późno... *n. s.* człowiek, któremu dałem w łapę kilka rubli za kopję wyroku... Jezus Marja! oni tu chyba o tem nie wiedzą... *głośno* panie szambelanie... *monsieur chambelan...* ja jadę do was, bo tam jest moja Pola... pojechała właśnie do szambelanówny.

SZAMBELANIC

I owszem, bardzo nam będzie przyjemnie *do* KOTWICZA, *który mu mówił do ucha* Co? zapraszać go! a dajcież mi pokój... w imię ojca i syna!... czy ja wiem co za jeden..

WŁADYSŁAW

*do* DZIEŃDZIERZYŃSKIEGO

Oddajże papka tego zajęca na wóz, bo krwawi... powala siedzenie w wolancie.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Comment?... attendez...* mam tu papier od butersznitów...

*Dobywa z torby i obwija zajęca; odchodzą,* MAURYCY i WŁADYSŁAW *ktaniają się zdaleka* STRASZOWI.



## SCENA VIII

KOTWICZ, STRASZ, *potem* ŁECHCIŃSKA.

STRASZ

*po chwili*

A my?

KOTWICZ

Ano, i my jedziemy.

STRASZ

Przyznam się, że mógł być ten pan szambelanic powiedzieć mi choć słówko.

KOTWICZ

Ale panie, to jest człowiek, który niewolniczo trzyma się form... nie wypadało mu... zkądże?... wszak to nie jest proszona zabawa, tylko po prostu, pan korzystając z sposobności, robisz krok grzeczności sąsiedzkiej.

ŁECHCIŃSKA

*w progu, załamując ręce*

Odjeżdżają!... cóż teraz będzie?

STRASZ

*p. c.*

Nie jadę.

KOTWICZ

Ale panie, dla czego?

STRASZ

Stanowczo powiadam, nie jadę i skończony interes.

KOTWICZ

*na gest ŁECHCIŃSKIEJ, która zaraz znika*

No, to przynajmniej przetrąćmy co, jest tu śniadanie.

STRASZ

Gdzie?

KOTWICZ

U leśniczego.

STRASZ

*żywo*

A ta dziewczyna jest tam?

KOTWICZ

*podobnież*

Jest! jest!

STRASZ

No widzisz pan, jak mi kto robi rozumną propozycję, to zupełnie co innego. *ściskając mu rękę* Zgadzam się.

KOTWICZ

Więc służę. *prowadząc go, n. s* Gdzie djabeł nie może, tam babę pośle... Referendarzowa da sobie z nim radę.

*Wchodzą do domku. Zastona spada.*

## AKT II

Salonik — umeblowanie gustowne, ale zszarżane — troje drzwi: jedne w głębi, dwoje po bokach — z prawej okno — po tejże stronie zwierciadło stojące — z lewej kanapa, fotele i stół, na którym pisma, parę książek, album z fotografiami i t. p.

### SCENA I

POLA, SŁUŻĄCY wchodzą głównymi drzwiami; potem GABRJELA.

POLA  
z której służący zdejmuje okrycie  
Więc starsza pani słaba?

SŁUŻĄCY  
Tak... po swojemu.

POLA  
Jakto, po swojemu?

SŁUŻĄCY  
Niby... jak zawsze, na głowę... n. s. więcej ambarasu, jak co warto.

POLA  
Panna Gabrjela jest przy matce?

SŁUŻĄCY  
A jakże.

POLA  
*Zaczekam tu... służący wychodzi z okryciem; POLA zdejmuje kapelusz, przygląda włosy przed zwierciadłem, potem przeszedłszy się parę razy w milczeniu, zbliża się do stołu i przegląda pisma; po chwili, biorąc album z fotografiami A!... nie ma świadków... mogę sobie pozwolić. znalazłszy fotografię wpatruje się w nią Mój drogi!... gdybyś ty wiedział... gdybyś mógł temi martwemi oczyma zajrzeć w głębi mojej duszy... p. c. Jak on tu jest doskonale trafiony... wysuwając kartę Gdybym tak sobie przywłaszczyła... dobra sposobność... ale brak mi odwagi... ah! na samo przypuszczenie, że mógłby kto spostrzedz...*

*Oglądając się machinalnie, spostrzega GABRJELE.*

GABRJELA  
*wchodząc z lewej strony*  
Usłyszałam turkot, byłam pewną że to panowie z polowania, tymczasem przez okno spostrzegłam powóz z Zabrodzia... miła dla mnie niespodzianka.. Jak się masz.  
*Całują się.*

POLA  
*zakłopotana albumem, którego nie wypuszcza z rąk*  
Podobno mama słaba.

GABRJELA  
Trochę migreny, ale już przeszło... teraz usnęła... ucieszy się bardzo, gdy cię zobaczy, tak dawno już nie byłaś u nas.

POLA  
*j. w.*  
Podobną wymówkę mogłabym i ja tobie zrobić... n. s. To się złapałam... gdybym mogła wsunąć napowrót.  
*Udaje że przegląda album.*

GABRJELA  
Cóżś ty się tak zagłębiła w tem albumie, nie ma tam nic ciekawego, same wyierki przeznaczone na plondrowanie.

POLA

*szybko chowa fotografię do kieszonki; n. s.*

Stało się! *głośno, przewracając karty albumu na chybił trafił, zmięszana* Tak sobie, przeglądam... ale istotnie, ile tu brakuje! pełno pustych miejsc... *n. s. E*, przecież nikomu nie przyjdzie na myśl... *głośno* Kto jest ten młody mężczyzna?

GABRJELA

Młody mężczyzna, ten?... ha, ha.. czy ci się podobał?

POLA

Ma wyraz twarzy uderzający.. *n. s.* nie wiem sama, co mówię.

GABRJELA

To nasz daleki kuzyn.. oryginał sławnie brzydki, ale kolosalnie bogaty... Powiedz sama, czy nie ma on wypisanego na czole: materiał na męża!

POLA

Dla czego?

GABRJELA

Dla tych właśnie przymiotów. Wyobraź sobie, dostał kobietę wykształconą i prześliczną, która jest z nim najszcześliwszą.

POLA

Mógł się przecie podobać.

GABRJELA

Jako partja, bezwątpienia... kochała się szalenie w innym, i kocha go podobno jeszcze... ale pokazała się kobietą dziwnego hartu.

POLA

Inaczejbym to nazwała.

GABRJELA

Wyratowała z nędzy matkę.

POLA

A! więc po prostu spełniła ofiarę.

GABRJELA

Na której przedewszystkiem sama zyskała grubo, dostawszy męża zgadującego jej myśli i dogadzającego najkapryśniejszym zachceniom... to nic więcej, tylko dowód praktyczności, której mogłybyśmy jej wszystkie pozazdrościć.

POLA

Dziękuję za to.

GABRJELA

Ale bo my popełniamy zwykle ten błąd, że nadto dajemy się powodować czułości... po romansowych głowach snują się obrazy sielankowego szczęścia, które jako marzenia chorobliwe narażają nas tylko na spadanie z obłoków.

POLA

Nawet choćby się urzeczywistniły?

GABRJELA

Alboż to się trafia?

POLA

A małżeństwo z miłości?

GABRJELA

Raz na tysiąc razy, moja droga, wielki los na loterji; jakiegoż to trzeba zbiegu okoliczności, żeby zadowolnić zarazem i pragnienie serca i wymagania rozumu.

POLA

Gdy chodzi o szczęście całego życia, zdaje mi się, że powinniśmy się radzić tylko serca. Ja przynajmniej nigdybym nie potrafiła iść za mąż bez przywiązania.

GABRJELA

Potrafiłabyś, gdybyś musiała... a zresztą, wszystkie te rojenia o szczęściu o tyle są coś warte, o ile przedstawiają jakąś rękojmię trwałości.

POLA

To już od nas samych zależy.

GABRJELA

Nie koniecznie. Czy wiesz, jak ja sobie wyobrażam szczęście? *obejmując POŁĘ i patrząc jej w oczy* Oko utopione w oku, w którego głębiach obietnice raj, dłoń w dłoni, której dotknięcie wzbudza bicie mojego serca...

POLA

*śmiejąc się*

Pokazuje się, że mamy jednakowy gust... ja nie inaczej myślę. Ale tym sposobem, jesteś w sprzeczności sama z sobą.

GABRJELA

*j. w.*

Za pozwoleniem, nie dokończyłam... Ale to wszystko pod warunkiem, żeby się odbywało na lśniącym parkiecie, wśród ścian zwierciadlanych odbijających bez wykrzywienia oblicza dwojga ludzi szczęśliwych, w atmosferze przesiąkłej wonią wyszukanych pachnidel... bo, wierząc mi, choćbym usychała z miłości, nie odważyłabym się na życie z człowiekiem ukochanym wśród trosk... przykucie go do siebie w tych warunkach uważałabym za szczyt nierozsądku... zdaje mi się, że znienawidziłabym go, gdyby mi przyszło wystawiać uczucie na walkę z losem!... *spokojnie* rozumiesz mnie teraz?

POLA

Jeżeli mówisz prawdę, to żałuję cię. Ja podzieliłabym chętnie najsmutniejszą dolę z tym, którego bym wybrała.

GABRJELA

Tak ci się zdaje, bo nie jesteś w tem położeniu.

## SCENA II

GABRJELA, POLA, DZIĘDZIERZYŃSKI, SŁUŻĄCY

DZIĘDZIERZYŃSKI

*we drzwiach w głębi, spostrzegłszy POŁĘ z GABRJELĄ, uszczęśliwiony, odsuwając służącego, który chce mu odebrać torbę zajęcem*

Co za widok! *quel joli paysage*... serce mi rośnie, gdy patrzę na tę ich przyjaźń.

GABRJELA

A! pan Dzieńdzierzynski.

DZIĘDZIERZYŃSKI

*przybiegając*

Padam do nóżek, moje uszanowanie... całuję rączki panny szambelanównej. *całuje ją w rękę; do POLI całując ją w głowę* Jak się masz.

GABRJELA

*spostregłszy zajęcą*

Cóż za trofeum przy torbie!

DZIĘDZIERZYŃSKI

Ah! *pardon cofając się* jakież ja jestem roztargniony... wchodzić tak do salonu pomiędzy damy... tęgi zajęc, *n'est ce pas?* idąc do drzwi W tej chwili służę. *zatrzymując się, do POLI* Pani szambelanowej nie ma?

POLA

Słaba na migrenę.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*z współczuciem*

Ah! co za szkoda!... byłaby go zobaczyła.

POLA

Czy papka sam to zabił?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Comment? powtarzając po niej* Czy papka sam to zabił?... miałem przy sobie sól w papierku i posypałem na ogonek... oj, ty, ty... córka myśliwego i robić tak naiwne pytanie... zabiłem, i to strzeliwszy z pod pachy... *do służącego* No, weźże tego zająca i zanieś do kuchni, ale powiedz tam, że to ja moją własną ręką zabiłem... pamiętaj!... pan z Zabrodzia swoją własną ręką... powiesz?

SŁUŻĄCY

Powiem, co mi to szkodzi.. i tak nie uwierzę...

*odchodzi z torbą i zającem*

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Co?

GABRJELA

Pan sam tylko przybyłeś?... gdzież reszta towarzystwa...

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Przyjechaliśmy wszyscy, ale szambelan i obadwa młodzi poszli do siebie... *n. s. głupiec.*

GABRJELA

*siadając na kanapie*

A z obcych jest kto? *robiąc mu miejsce koło siebie* Siadaj pan.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Dziękuję uprzejmie. *siadając* Nie ma, broń Boże... jesteśmy w swoim kółku.

GABRJELA

Czyż nie było nikogo więcej na polowaniu?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ale i owszem! nie brakowało nieproszonych gości... spotykaliśmy pełno jakiejś hołoty, figur zakazanych..

GABRJELA

Ale z sąsiadów był kto?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Nikt, prócz Strasza z Zagrajewic.

GABRJELA

A! pan Strasz... czemużecie go panowie z sobą nie przywieźli?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*niechętnie*

Do czegożby to było podobne.

GABRJELA

Wiadomo, że pan jesteś zwolennikiem form, ale cóżby to szkodziło!... powiedzże mi pan co o nim... Cóż to za osobistość?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*j. w. wstając*

Ale proszę pani, czy ja go znam! nie wiem co za jeden.

GABRJELA

Jakżeż go pan z góry traktujesz!.. Mówmy tak otwarcie, czy to grzecznie, żeście odjechali zostawiając tego pana... może go nawet nikt nie prosił.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Nie wiem.

GABRJELA

Jego rzeczą było przyjąć zaproszenie albo wymówić się, ale od panów należał się ten krok uprzejmości.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ale kiedy to jest człowiek nie z naszej sfery, *je vous assure*.

GABRJELA

*śmiejąc się*

Już takiego ultraarystokraty jak pan jesteś, to nie znam.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*zadowolony*

*Comment?* pani uważasz, że ja jestem arystokratą.

GABRJELA

*wstając*

Ale jakim!

POLA

*która przeglądała pisma, a potem przechadzała się zniecierpliwiona tokiem rozmowy*

Papka bo gotów jest bronić nawet tego w co nie wierzy, i na odwrót... wbrew własnemu przekonaniu, byle tylko mieć materję do sprzeczania się z tobą.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*protestując*

Ale za pozwoleniem.

POLA

Szczególne ma w tem upodobanie.

GABRJELA

O, ja wiem, że pan jesteś duchem sprzeciwieństwa... *n. s.* Muszę się dowiedzieć, co się dzieje z Łechcińską... *głośno* Moja Polu, przepraszam cię, że odejdę na chwilkę, ale muszę zobaczyć, czy mama się nie obudziła... natychmiast wrócę.

POLA

O proszę cię... nie rób z nami żadnej ceremonji.

GABRJELA

*na odejściu do DZIEŃDZIERZYŃSKIEGO*

Gniewam się na pana.

*Odchodzi na lewo.*

### SCENA III

DZIEŃDZIERZYŃSKI, POLA.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Comment? sur moi? savez vous quoi, c'est bon.*

POLA

*p. c.*

Cóż papka ma znowu przeciwko temu Straszowi?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ale cicho! bo nic nie wiesz... *tajemniczo* był dependentem przy adwokacie... wystaw sobie, ja sam, moją własną ręką, dałem mu kiedyś pięć rubli za kopię wyroku w jednej sprawie... no!

POLA

Więc cóż?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Nic... wziął i schował do kieszeni.

POLA

Ale należało mu się, czy nie?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Wprawdzie to było extra zwykłych kosztów, ale że chodziło mi o pospiech, więc sam mu obiecałem... pisał przez całą noc.

POLA

Więc cóż papka chce od niego?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

No, pozwolisz, że to jest ambarasujące położenie, gdy na raz taki jegomość zjawia się jako sąsiad, dziedzic dóbr i drze się do poufałości...

POLA

I to papka może mówić?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Nie przez arystokrację, jak cię kocham, chociaż mnie o to posądza twoja przyjaciółka... tylko chcę powiedzieć, że taki człowiek nie miał gdzie nabrać tego poloru... *cette politure...* której się wymaga w towarzystwie *comme il faut*. Naprzykład na polowaniu, gdy mi go zaprezentowano, powiada: a! pan miałeś handel na miodowej ulicy... no proszę cię!

POLA

Niechże się papka tego nie wypiera, tyle razy już prosiłam.. ja się tak boję złośliwych języków.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Bardzo dobrze, ale to mnie tylko wolno o tem pamiętać, a nie komuś tam... Tak nakazuje poczucie delikatności.... Stawiam ci dowód: wszakże szlachcic na wsi handluje wszystkim co wyprodukuje, tak czy nie? a niechżeby komu przyszło do głowy nazwać go handlarzem... dajmy na to, nierogacizny... *ce serait bon!*... dla czegoż ten sam Strasz nie zaprezentował się jako były dependent, tylko jako dziedzic Zagrajewic...

POLA

Ale papeczko, to są słabostki ludzkie, na które trzeba być wyrozumiałym.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

To swoją drogą, ale trzeba także szanować siebie... i dla tego dziwi mnie zapytanie szambelanówniej.. bo że on się chce tu wkręcić, to rzecz prosta, ale ona... chociaż to twoja przyjaciółka, niech mi daruje... jakby już brakowało w sąsiedztwie ludzi przyzwoitych... I do mnie pretensja, że go nie przywiózł... z kąd? co?... *p. c.* chociaż wiesz ty, że to było powiedziane mądrze, w tem była myśl... niby uważają nas za swoich, traktują jakby już należących do familji.

POLA

*która odeszła do okna*

Z jakiegoż to tytułu?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*żartując*

*Je ne sais pas... comme cela!*

POLA

Jak papkę kocham, nie rozumiem... może papa sobie z troskliwości o mnie snuć jakieś projekta, ale... to jeszcze coś tak dalekiego... niepewnego..

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*pieszczotliwie*



Ale nie bój się, nie bój... nic pewniejszego... trzeba znać ludzi; gdybyś nie była jedyną dziedziczką Zabrodzia, nie mówię.. *ciszej* ale oni są po szyję w interesach... taka partja jak ty, to dla nich wielki los.

POLA

Na Boga! czyż papka nie czuje, jak ubliża i sobie i mnie takim odezwaniem się...

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*nieśmiało*

*Comment? p. c.* no cóż... przecie mówimy między sobą... w cztery oczy.

POLA

Wszystko jedno. Poczucie własnej godności nie pozwoliłoby mi oddać ręki człowiekowi, którego bym podejrzewała, że starając się o mnie ma na względzie nie moją osobę, lecz majątek.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ale Polu, pozwól no...

POLA

Powiadam papie, że odmówiłabym.. chociażbym nawet szalała za nim.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

A Jezus Marja! kiedy unosisz się bez najmniejszego powodu... któż tu o tem mówi...

POLA

Papka sam nasuwa mi wątpliwość.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ja?... w imię ojca i syna... przekręcasz moje słowa... powiedziałem tylko tak w ogóle.. *en général.. p. c. z wymówką* jesteś tak drażliwa, że sam nie wiem, jak z tobą mówić.

POLA

Mam powody.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Jakie?... *p. c.* słuchajno, czy ja chcę twojego szczęścia, czy nie? jak ci się też zdaje.

POLA

*całując go w rękę*

Ale nie mam pod tym względem wątpliwości, tylko...

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Tylko co?... *p. c.* że pragnę tego związku, to swoją drogą. Wbiłem sobie w głowę, że musisz być Czarnoskalską i tego ćwieka mi nie wyciągniesz, ale chociażby mi to było najobojętniejszą rzeczą, nie widzę żadnej racji drożenia się i wyszukiwania trudności, skoro Maurycy się o ciebie stara.

POLA

Nic o tem dotychczas nie wiem.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Nie wiesz? a bójże się Boga... toć o tem już wróble na dachach śpiewają... wszyscy wiedzą.

POLA

Ludziom mogą wystarczać pozory, ale nie mnie.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

A to już nic nie rozumiem.. Czegóż ty chcesz od niego? powiedz mi wyraźnie.

POLA

*p. c. cichym głosem*

Żeby nie zadawał sobie gwałtu, jeżeli narzucona rola zanadto mu jest przykrą.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Narzucona rola? cóż to on komedjant, czy co?... *p. c.* Moja Polu, zastanów się; to z twojej strony tylko kaprys, romanse, nic więcej... *niecierpliwąc się* Nie pojmuję, w kogo się wdałaś, bo ani we mnie, ani w nieboszkę matkę... nie masz za grosz praktyczności. POLA *ociera łzy* Co to, płaczesz? dajżeż pokój, tego tylko brakuje! jeszcze ja przy tobie się rozbeczę i będzie!... Czy cię tyranizuję, czy zmuszam gwałtem?... powiedz co chcesz, wszystko zrobię.

POLA

Ja tylko proszę, błagam, niech papka nie nagli i zostawi to czasowi... Skoro się przekonam...

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ale ba, czasowi, czasowi., takie rzeczy się nie odwołczą... jak zaczniesz grymasić, to ich może urazić, zniechęcić... *ciszzej* a nużby uderzyli gdzie indziej?... będzie żal...

POLA

Jeżeli pana Maurycyego nicby nie kosztowało zwrócić w inną stronę swoje zapaly...

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ale moja droga... cóż chcesz... z samej desperacji, *par despération*, gdy mu będziesz fochy stroić... cóż on zrobi jak go rodzice zmuszą... *n. s. zdesperowany* Poplątałem się... *po chwili błagalnie* Polu!

POLA

Ale cóż papka żąda odemnie.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Ne fais pas des grimas*-, mniej wzgląd na mnie, zrób też coś dla papki.

POLA

Powinniśmy się strzedz cienia pozoru, że się narzucamy... przeceniając zaszczyt należenia do towarzystwa osób, które właśnie z tego tytułu... mogłyby nas traktować... lekko...

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*niespokojny*

Nas traktować lekko? nic podobnego nie zauważyłem... zkadze ci to w głowie?

POLA

Mówię tylko... że nie powinniśmy się na to narażać.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*chodzi p. c.*

To prosta rzecz, ale tu nie ma tego rodzaju obawy... sami ujmują nas na każdym kroku, a jeżeli jesteśmy już jak domowi, to wszystkie awanse były z ich strony.

POLA

Papka może się ludzić.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ale broń Boże! chybaby tak zręcznie udawali. Są ze mną tak poufale... nazywają papką.

POLA

Ojciec jest w tym wieku, że zbyt duża poufalość może być dla niego ubliżeniem.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Przesadzasz Polu, jak cię kocham przesadzasz... *uprzedzając odezwanie się* POLI tylko dajno się przekonać: ty mnie tak nazywasz, a że ciebie uważają już za swoją... więc.. tak sobie, *pour plaisir*... w dobrej komitywie.. ale! *à propos* papki... proszę cię, bo ty znasz lepiej język francuzki... co za przysłowie może być na: papka?

POLA

Dla czego?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Bo Władysław powiedział mi coś, czego nie rozumiałem, a nie wypadało mi się zapytać...

POLA

*żywo*

Pan Władysław?... i cóż to było?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Kiedy zapomniałem... czekajno... *qui est papka, plus papka...* *spoztrzegając* GABRJELĘ cicho! później ci powiem.

## SCENA IV

*Poprzedzający, GABRJELA, p. c., SZAMBELANIC, później MAURZYCY.*

GABRJELA

*wchodząc z lewej strony*

Polu, możebyś się teraz pofatygowala do mamy.

POLA

Już można?

GABRJELA

Obudziła się i prosi cię.

*Bierze POŁĘ pod rękę.*

SZAMBELANIC

*wchodzi z prawej strony*

Jest tu sąsiad? *spoztrzega* POŁĘ a! witam pannę Paulinę. *ściska jej rękę, ona mu oddaje niski dyg* Powiem państwu pocieszną nowinę: zgadnijcie też, kogo będziemy mieli dziś na obiedzie?... ani by wam przez myśl przeszło.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*zainteresowany*

No, no, no?

SZAMBELANIC

Głupstwo, ale mnie irytuje... Co to jednak znaczy forma w życiu towarzyskiem... Są tacy, co się z tego śmieją, tymczasem ja powiadam, że gdybyśmy odrzucili formy, obcowanie z ludźmi stałoby się istną torturą.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*spoglądając na Połę*

To, co ja zawsze powiadam.

SZAMBELANIC

Bo o cóż nam chodzi?... o to, żeby człowiek z którym okoliczności każą nam żyć, był gładkim i nie raził nas obejściem nieprzyzwoitem.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*do POLI*

*Voyez-vous!*

SZAMBELANIC

Gdy tego nie znajduję, no to padam do nóg.

GABRJELA

Do kogoż ojciec to stosuje?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ale! więc ktoś to się zaprosił na obiad?

SZAMBELANIC

Nasz nowy sąsiad, pan.. pan... jakże mu tam... z Zagrajewic...

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Strasz! *do siebie* Powiedziałem, że się tu wśrubuje.

GABRJELA

Aha! *do POLI* Chodźmy.

POLA

*żartobliwym tonem*

Widzisz, więc będziesz go miała.

*Wychodzą na lewo.*

SZAMBELANIC

Bo to niby mała rzecz... sąsiad.. znalazł się na polowaniu... no, i przyjeżdża... ale jak to charakteryzuje człowieka... nie zarekomendowawszy się złożeniem wizyty, nie dawszy się poznać, bo istotnie nie wiemy co za jeden... i tak sobie bez ceremonji.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Jak do oberży!... Ale skądże szambelan wie... czy już jest?

*Idzie do okna.*

SZAMBELANIC

Podobno jedzie, dowiedziałem się przypadkiem od służby. Pytam się, gdzie jest pan Kotwicz... hrabia... czy już wrócił z lasu... powiadają mi, że został na śniadaniu na leśniczówce wraz z panem Straszem, i że obaj mają przyjechać. Hrabiaćko głupieje na starość, słowo uczciwości.

*Rzuca się na kanapę.*

DZIEŃDZIERZYŃSKI

A niech mi daruje... bo, proszę szambelana, nie chodzi o tę łyżkę rosółu... *patrzy przez okno* Ot, już przyjechali!... ale nie.. to chyba ktoś inny... jakaś bryczka... ale wygląda na najętą furmankę... stoi przed oficyną.. wyjmuję z niej jakieś zawiniątko czy papiery.

SZAMBELANIC

*n. s.*

Sekwestратор albo woźny... *głośno* Bodaj to w mieście, tam jestem przynajmniej panem swojej woli. nic mnie nie obowiązuje do przestawiania z kimś dla tego, że sąsiaduje ze mną przez ścianę, a tu!... lada jakiś tam obieżyświat pod pozorem sąsiedztwa chce być ze mną w zażyłości... i to trzeba przyjmować grzecznie, całować się z *tem* z dubeltówki, i jeszcze być wdzięcznym za zaszczyt, bo to jest!

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ale po cóż znowu robić sobie subjekcję.

SZAMBELANIC

Jeżeli ktoś jest nieprzyzwoitym, to mnie nie upoważnia do naśladowania go... od tego właśnie są formy.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Oui, c'est vrai bon ton.*

SZAMBELANIC

*do MAURYCEGO, który wchodzi z papierami*

Cóż to tam nowego? *biorąc* już jak zobaczę papier ze stępem, to mnie dreszcze biorą.. *czyta; marszcząc brwi* nakaz komornika?

MAURYCZY

Tak, niestety.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*przechadzając się, n. s.*

Ten człowiek będzie mi psuł krew... przewiduję to

SZAMBELANIC

*przejrzawszy*

Więc cóż? niech zostawi i jedzie sobie z panem Bogiem.

MAURYCY

Ojciec chyba nie przeczytał uważnie.

SZAMBELANIC

Dajże mi pokój... możesz mnie sam objaśnić, jeżeli wiesz.

MAURYCY

Chce zaraz robić zajęcia.

SZAMBELANIC

*oburzony*

Serio?

MAURYCY

Utrzymuje, że wyrok stał się prawomocnym... wszystkie terminy już upłynęły.

SZAMBELANIC

*p. c.*

Nie dopilnowało się... djabli nadali.. można było odwłóczyć Bóg wie jak długo... *p. c.*  
Ano, wiesz ty, nie ma innej rady, tylko powiedzieć otwarcie Dzieńdzierzyńskiemu, on da na to.

MAURYCY

Za nic w świecie!

SZAMBELANIC

O, tylko nie dziwacz z temi skrupułami... jak gdyby ludzie nie pożyczali... od czegoż kredyt?

MAURYCY

Gdzież fundusz na oddanie, jeżeli się od niego weźmie?

SZAMBELANIC

Alboż nie mam Czarnoskały... *z uśmiechem, znacząco zresztą*, to już ty znajdziesz.

MAURYCY

Ojcze!

SZAMBELANIC

*zniecierpliwiony*

Więc cóż zrobić? zabawny jesteś... dopuścić do zajęcia... kompromitować się publicznie!

MAURYCY

Czyż lepiej nadużyć zaufania...

SZAMBELANIC

*surowo*

Maurycy, zapominasz się.

MAURYCY

*całując go w rękę*

Niech ojciec tego zaniecha.

SZAMBELANIC

*wstając*

No, to znajdźcie inne lekarstwo... gdzie Władysław? idźcie oba i traktujcie z tym jegomością... może zyskacie zwłokę... jedyny sposób: wsadzić mu co w łapę... *p. c.* No, idź, idź... nie ma co! MAURYCY *po chwili wahania się wychodzi* Szarańcza, słowo uczciwości.

*Chodzi.*

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*n. s. chodząc*

Że też to nikt się nie pyta, do czego go pan Bóg stworzył, tylko byle się piąć!... głupota ludzka

SZAMBELANIC

*n. s.*

Ale co to na nich rachować... wiem, że nic nie zrobią... nie ma innego środka, tylko do *tego* się udać. *p. c. głośno* Głupie czasy, mój sąsiedzie.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

No?

SZAMBELANIC

A z temi interesami. Dawniej między nami była jakaś solidarność, o kredyt nikt się nie kłopotał; dziś w nagłym razie trzeba się udawać do żydów... dla tego to stare rody upadają.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Istotnie, że teraz nie ma już tego zaufania.

SZAMBELANIC

Właśnie.. ale dla czego?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Widać dla tego, że dawniej oddawano *et á présent on ne veut pas*.

SZAMBELANIC

Mówię o tych, co oddają, a przynajmniej chcą oddać, a że nie mogą.. no, to inna kwestja.. to bywa chwilowo. W każdym razie, gdzież lepsza pewność jak na wielkich majątkach, chociażby nawet obdłużonych.. zawsze tam miejsca jeszcze wystarczy... tymczasem, prędzej znajdzie kredyt jakiś tam dorobkowiec na lichej wioszczyne, niż pan milionowych dóbr... i jakże tu egzystować.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

To ja powiem szambelanowi przyczynę. Jak z dwóch rybek jedną wpuścić do małej sadzaweczki, a drugą do wielkiego jeziora, to tę pierwszą zawsze łatwo dostać, ale drugą... niekoniecznie... choć ona tam pewna, najpewniejsza... chybaby spuścić jezioro, a to grubo kosztuje. Nieprawdaż?

SZAMBELANIC

No to tylko sobie bajeczka. *n. s.* Dowcipniś.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*po chwili wabania się*

Czy szambelan... masz jakie kłopoty?

SZAMBELANIC

*żywo*

Mój sąsiedzie, któż jest bez nich... Czarnoskała to jest majątek od lat kilkuset pozostający w naszym rodzie... *do Łechcińskiej, która wchodzi głębią* Czego mi się tu kręcić?...

ŁECHCIŃSKA

Myślałam, że tu jest panna Gabrjela.

SZAMBELANIC

*półgłosem*

Podstuchiwać... ploteczki znosić...

ŁECHCIŃSKA

*z niewinną miną*

Ja! *do siebie, idąc ku drzwiom z lewej strony* Musi być coś, kiedy się boi podstuchania.

SZAMBELANIC

*do DZIEŃDZIERZYŃSKIEGO*

Może sąsiad pozwolisz do mnie na cygarko...  
*Bierze go pod rękę.*

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Bon!*

*Wychodzą na prawo.*

## SCENA V

GABRJELA, ŁECHCIŃSKA.

ŁECHCIŃSKA

*tryumfująco do GABRJELI, która wchodzi z lewej strony*  
Jedzie!

GABRJELA

Wielka nowina! czy to miały znaczyć owe znaki telegraficzne przez okno? dowiedziałam się już przedtem... ale nie jestem kontenta, tak się to jakoś zrobiło nie wiedzieć po jakimu.

ŁECHCIŃSKA

Co znowu! wszystko poszło jak po maśle.

GABRJELA

Ale gdzie tam! i ojcu tak się to nie podobało.

ŁECHCIŃSKA

O! starszy pan...

GABRJELA

Gdyby był przynajmniej przyjechał razem ze wszystkimi, a nie tak, sam, z polowania prosto na obiad.

ŁECHCIŃSKA

Jakto sam? a hrabiego to się już nie rachuje?

GABRJELA

Zawsze to jakoś śmiesznie.

ŁECHCIŃSKA

Moja pannuńciu, to już tak jest, że starający się nie uważają na formuły... nieraz jeszcze większe głupstwa robią z miłości, a to uchodzi.

GABRJELA

*wzruszając ramionami*

Z miłości! to też tem da się wytłumaczyć; ale tu, pan starający się, jak go Łechciński podobało się nazwać, nie widział mnie w swoim życiu.

ŁECHCIŃSKA

Otóż właśnie pokazuje się że widział.

GABRJELA

A to gdzie?

ŁECHCIŃSKA

W kościele podobno... *n. s* Co mi to szkodzi powiedzieć... *głośno* nie dla czego innego tak pilno się o pannuńcię wypytywał.

GABRJELA

*ironicznie*

Jak wyglądam?

ŁECHCIŃSKA

O, o... pannuńcia chce mnie łapać za słówka, jak matkę kocham.

GABRJELA

Więc o cóż się pytał?

ŁECHCIŃSKA

O wszystko, jak to kiedy kto sobie czem głowę nabije... jakie pannuńcia ma gusta, jakich mężczyzn woli, brzońców czy blondynów... a taki był zatopiony w myślach...

GABRJELA

*śmiejąc się*

Łechcińska się uwzięła żeby mi go ośmieszyć, a to jedno mogłoby mnie zrazić... po co tu wysilać imaginację!

ŁECHCIŃSKA

Ale bo..

GABRJELA

Czyż to wszystko potrzebne?... to, co wiadomo o tym panu, wystarcza, abym go dobrze przyjęła, jeżeli rzeczywiście przedstawi się jako starający... niestety, nie mam w czym przebierać.

ŁECHCIŃSKA

E! to o pannuńcie nie ma, widzę kłopotu!.. a starsza pani tak się martwiła.. Jak matkę kocham, tak mi się już jej żal zrobiło, że byłam gotową zryzykować się na intrygę — chociaż się tem brzydę — byle pannuńcie namówić... *poufnie* Starsza pani turbowała się szczególnie o to, czy pannuńcia z kim w romansie nie stoi.

GABRJELA

A toż co znowu!

ŁECHCIŃSKA

No, niby, czy się pannuńcia w kim skrycie nie kocha.

GABRJELA

Choćby tak było, mama wie, że moje położenie nie pozwala na ten zbytek, abym mogła iść za mężem z miłości... *p. c* gdyby, gdyby!...

ŁECHCIŃSKA

*z współczuciem*

Mój Boże, to tak jest... chciałoby się duszy do rajów, a tu.. jakie my kobiety nieszczęśliwe!... *p. c.* Pan Maurycy tak marudzi z tą swoją panną Pauliną, że Bóg wie, kiedy to będzie... a chociażby, to cóż z tego, obejmie Czarnoskałę, a z pannuńcią co się stanie?... czyje dzieci piastować, bo... ale! *ciszej* znowu komornik przyjechał.

GABRJELA

Nie może być!

ŁECHCIŃSKA

Jak matkę kocham! podsłuchałam niechcący przechodząc koło kancelarji... chce spisywać wszystko w pokojach, licytować... awantury!... pan Maurycy i pan Władysław szukają się tam z nim, szczególnie pan Władysław... słyszałam... ale co oni poradzą, kiedy nie ma tego...

*Pokazuje liczenie pieniędzy.*

GABRJELA

*chodząc i łamiąc ręce*

Moja Łechcińsiu!

ŁECHCIŃSKA

Pannuńciu złota, nie ma co medytować, tylko pana Boga wezwać w pomoc, i... próba frei... może Bóg da... *poufnie* mnie się zdaje, że on ma żyłkę do kobiet, a takiemu nie wiele trzeba, żeby się zapalił... Już kiedy on do mnie się wdzięczył, a nawet Zuzi nie przepuścił, to dosyć.. a gdzież tu porównanie...

*Wskazuje na zwierciadło, przed którym właśnie stoją.*

GABRJELA

Ale cóż Łechcińska wygaduje!



ŁECHCIŃSKA

*spojrzawszy w okno*

A Jezus! jadą... biegnę do starszej pani... *idzie na lewo; wracając się* A niech się pan-  
nuńcia przeżegna.

*Wychodzi na lewo.*

## SCENA VI

GABRJELA, *p. c.*, MAURYCY.

GABRJELA

*sama*

Po co ona mi to powiedziała! czułam rumieniec na twarzy.

MAURYCY

*wchodzi głębią nie widząc GABRJELI, wzburzony*

Nie! prowadzenie rozmowy w tym tonie jest dla mnie niepodobieństwem... Słuchać zarzutów, z których każdy wypadaloby odbić policzkiem, być zmuszonym zniżyć się do próśb, wykrętów... a!... żyć raczej suchym chlebem, byle uniknąć takiego położenia!

GABRJELA

Gdyby się to dało wykonać tak łatwo, jak szumnie brzmi w frazesie.

MAURYCY

A! byłaś tu?

GABRJELA

Cóż cię tak wzburzyło?

MAURYCY

Nic... tak... złożyły się rozmaite okoliczności.

GABRJELA

Nie potrzebujesz robić przedemną tajemnicy... wiem jaki znowu macie kłopot.

MAURYCY

Wiesz, i pytasz się co mnie wzburzyło?... Powiedz mi, po co to odgradzać się od ludzi chińskim murem pretensji kastowych, kiedy sami go przekraczamy i grzęźniem w błocie dając broń przeciwko sobie tym, którymi z kąd inąd każdy z nas pogardza? jakież piekielny urok ma ten pieniądz, że dla niego...

GABRJELA

*z uśmiechem*

Bo jest najlepszym stróżem honoru i tarczą przeciwko wszelkim pociskom...

MAURYCY

Winszuję ci, że możesz w tej chwili dowcipkować.

GABRJELA

To tylko dowodzi, że widzę jasno sytuację, nie tak jak mój braciszek, który uwziął się od niejakiemu czasu rozplęwać w sentymentalizmie i zamiast działać energicznie, bajronizuje... Ja bo widząc co się dzieje, postanowiłam sobie choćby kosztem największych ofiar dzwignąć się i stanąć silną przeciwko wszystkiemu, co mi los może zgotować.

MAURYCY

Tylko że tych ofiar nie bardzo potrzebujesz, a jeżeli będą jakie to lżej wam przyjdzie znieść je we dwoje. Szczęśliwa jesteś, zazdroścę ci, nikt wam obojgu nie będzie miał prawa zarzucić brudnej rachuby, możecie iść do celu z podniesioną głową.

GABRJELA

Nie rozumiem cię.

MAURYCY

Już to, że poznałaś się na tym człowieku, stawia cię bardzo wysoko.

GABRJELA  
O kim mówisz?

MAURYCY  
Pytasz się? naturalnie o Władysławie.. On tam został i uklada się, bo ja byłem bezsilnym... Gdybyś wiedziała jak to wziął do serca... o, on cię kocha prawdziwie.

GABRJELA  
Czy aż tak, że się zwierza? dzieciaki jesteście.

MAURYCY  
Nie miej mu tego za złe... twoja wzajemność tak go uszczęśliwia!

GABRJELA  
A ty z kąd wiesz o mojej wzajemności?

MAURYCY  
Wnosząc z tego co mi mówił...

GABRJELA  
*żywo*  
Cóż ci mówił?

MAURYCY  
Że jest pewnym twojego serca... i nic dziwnego, zasługuje na to, byś go kochała.

GABRJELA  
*śmiejąc się z przymusem, zirytowana*  
Czy za swoją zarozumiałość? I toż jest ten praktyczny, trzeźwo patrzący Władysław? Jeżeli miałam jaką słabość do niego, nie dawało mu to prawa robić mnie przedmiotem studenckich przechwałek.

MAURYCY  
Co ty mówisz?

GABRJELA  
Ubliżył mi... a zresztą uczucie, jeżeli je bierze na serio, robi go egoistą.. dla dogodzenia mu, dla jakichś romansowych urojeń, chce ze mnie zrobić ofiarę... nie cierpię go teraz.

## SCENA VII

*Poprzedzający, WŁADYSŁAW.*

WŁADYSŁAW  
*wchodząc prędko głębia; do MAURYCEGO*  
Zgadnij jaki obrót rzeczy wzięły?... tego się nigdy nie spodziewałem... *ciszej* Gabrjela wie?

MAURYCY  
Wie.

WŁADYSŁAW  
*do GABRJELI, biorąc jej rękę*  
Chciałem usilnie załatwić jakiś ten interes, bo kłopoty wasze oddawna już stały się mojemu.

GABRJELA  
*zimno, odbierając rękę*  
Pozwól, ściskasz mi rękę.

WŁADYSŁAW  
O, przepraszam cię... Wystaw sobie, już, już miałem nadzieję doprowadzenia rzeczy do końca, bo przystawano na spłatę ratami, wprowadzie w stanie naszych finansów dosyć uciążliwymi, ale zawsze pozwalającami odetchnąć... w tem ni ztąd ni zowąd traf przynosi, wicie kogo?... patrzę, zajeżdża Kotwicz z tym Straszem który był dziś na polowaniu...

Komornik zobaczywszy ich przez okno wybiega, i ci panowie witają się jak najlepsi znajomi... pokazuje się że kolegowali z sobą w Warszawie... potem odchodzą na bok, i... po krótkiej konferencji... no! zgadnijcie...

GABRJELA

*niecierpliwie*

Cóż za dziwny sposób opowiadania.

WŁADYSŁAW

Komornik oświadcza, iż pan Strasz nabył wszystkie pretensje pana Josel Wucherstein i prolonguje dług do pewnego czasu, że zatem nie ma już co robić i oddawszy mu wszystkie papiery, odjeżdża.

GABRJELA

A!

MAURYCY

*zdziwiony*

Strasz nabył ten dług?

WŁADYSŁAW

Rzecz bardzo prosta: to jest dług lichwiarski, ręczę że mu przyszedł tanio... Teraz bądź co bądź musimy spłacić tego pana... zależność podobnego rodzaju mogłaby nas kosztować zbyt drogo... *do GABRJELI* Ciężko to przyjdzie, ale bądź spokojną, już ja to biorę na swoją głowę.. trzeba będzie pracy, zaparcia się, może ofiar z niejednego do czego się nawykło... ale gdy chodzi o wyzwolenie się...

GABRJELA

O! tylko proszę cię bez poświęceń, bo nie potrafilibyśmy ci się wywzajemnić... zresztą wiesz, że ja jestem materjalistką i że sielankowego szczęścia nie rozumiem.

WŁADYSŁAW

Chciałbym abys przejęła się tą wiarą, że jeżeli snują jakie projekta, to pierwszym ich celem jest twoje szczęście.. *wzruszony* gdybyśmy poszli razem przez koleje życia, wszystko to co w powszednich kłopotach dotyka i boli, przyjąłby na siebie... tybys tego nie poczuła.

GABRJELA

Mój kuzynie, sam ten pomysł uderza niepraktycznością, a rola bierna jaką mi naznaczasz w tej fantastycznej wędrówce przez ciernie i głogi, nie pochlebia mi bynajmniej... Ja także mam pretensję do jakiejś samodzielności, a pozwolisz... że... drzemać, to nie jest żyć...

WŁADYSŁAW

Obracasz to w żart?

GABRJELA

Właśnie jeżeli kiedy, to teraz mówię zupełnie poważnie. Bywają chwile w których wolno się pobawić, ale od złudzeń wyborną prezerwatywą jest rzeczywistość i obowiązki... w obec nich wszystkie te mrzonki wydają się dzieciństwem.

MAURYCY

*n. s*

Dosyć wyraźnie... biedak jak zbladł... a mówiłem mu.

WŁADYSŁAW

*p. c.*

Gabrjelo!

GABRJELA

*drwiąco*

Cóż za ton, jakie spojrzenie... czy próbujesz na mnie siły swojego wzroku? Wygląda to na studja do jakiegoś teatru amatorskiego... może dano ci rolę niefortunnego adonisa?

WŁADYSŁAW

*do siebie osłupiały*

Nie pojmuję!... to chyba jakieś nieporozumienie...

## SCENA VIII

*Poprzedzający, KOTWICZ, później SZAMBELANICOWA, POLA.*

KOTWICZ

*wchodząc głębią*

No, co mi dacie za ten interes, bo to na czysto moje dzieło... wiecie już?... potrafiłem go tak napompować przez drogę, że był do gotowego... Ojciec będzie miał doskonały humor przy objedzie, bo nadto jeszcze udało mu się tak rozczulić starego Dzieńdzierzynskiego, że... *spostrzeższy wchodzące SZAMBELANICOWĘ i POLE, chrząka* Hm, hm... *do WŁADYSŁAWA biorąc go na bok* Dostał od niego weksel na spłacenie tego długu, ale że właśnie Strasz już go nabył...

WŁADYSŁAW

Więc mu go odda napowrót, jako już niepotrzebny.

KOTWICZ

*śmiejąc się*

A to byłby warjatem... zostanie mu w kieszeni, taka gratka nie zawsze się trafi.

WŁADYSŁAW

*oburzony*

Rozumowanie, którego by się nie powstydział pierwszy lepszy kantorzysta.

KOTWICZ

*j. w. drwiąco*

Filozof!

*odchodzi od niego*

SZAMBELANICOWA

*która usiadła na kanapie, do KOTWICZA*

Kuzynie, podobno przywiozłeś z sobą kogoś z polowania?

KOTWICZ

*z humorem*

A tak.. jestem w roli mentora, wprowadzając w nasze kółko młodzieńca surowego jeszcze, ale pełnego nadziei.

SZAMBELANICOWA

Cieszyłabym się, gdyby nasz dom mógł zarobić sobie na miano szkoły życia towarzyskiego... ale... nie wiem, jak to mój mąż przyjmie.

KOTWICZ

Nie ma obawy.. już się zaprzyjaźnili.

*Siada przy niej.*

SZAMBELANICOWA

*ciszej*

Przyzwoity człowiek?

KOTWICZ

Przynajmniej na początek przyzwoicie się znalazł, bo spłacił żyda.

SZAMBELANICOWA

Serio? KOTWICZ *odpowiada jej cicho; głośno do MAURYCEGO i WŁADYSŁAWA* Panowie młodzi, rozweselcie mi też Polunię, bo jakaś smutna dziś...

*Rozmawia po cichu z KOTWICZEM. WŁADYSŁAW usiadł na uboczu i śledzi spojrzeniem GABRIELĘ która przechadza się unikając z afekcją jego wzroku.*

POLA

*do MAURYCEGO, który się zbliża do niej*

Misja uciążliwa, nieprawdaż?

MAURYCY

Tem goręcej też pragnąłbym jej podolać.

POLA

Do tego trzeba tylko dobrej i nieprzymuszonej woli.

MAURYCY

Ta zdziałałaby cuda, gdyby nie była zależną od okoliczności, od usposobienia duszy.

POLA

Pańskie usposobienie bywa jakies... wyjątkowe.

MAURYCY

Jest takie jakim je wyrobiło położenie. Życie nie daje mi sposobności do śmiechu, dla tego na wszystko zapatruję się z strony poważnej... a tem trudno zabawić, wzbudzić wesołość, jak tego pragnęłaby moja matka.

POLA

W samej rzeczy... czasem chłód aż wieje od pana.

MAURYCY

A panie w takich razach jesteście bez litości... nic nie uwzględnicie, wydając sąd, nie dopuszczacie okoliczności łagodzących.

POLA

Ja nie sędzę ani krytykuję, tylko przez współczucie dałabym panu lekarstwo na jego usposobienie.... przedewszystkiem nie przymuszać się, gdy to zbyt wiele kosztuje.

*Idzie do GABRJELI i bierze ją pod rękę.*

MAURYCY

*n. s.*

Co ona przez to rozumie?

## SCENA IX

*Poprzedzający, SZAMBELANIC (chodzi głębią prowadząc pod rękę STRASZA, za nimi DZIEN-DZIERZYŃSKI z kwaśną miną.*

SZAMBELANIC

*prowadząc STRASZA do żony; KOTWICZ wstaje*

*Ma chère, przedstawiam ci naszego nowego sąsiada: pan Strasz herbu Strasz.*

SZAMBELANICOWA

Bardzo mi przyjemnie... słyszałam wiele o panu..

STRASZ *się kłania.*

SZAMBELANIC

*ciągle trzymając go*

Myśliwy nie tęgi, ale wstęp swój w koło obywatelskie inaugurował czynem, który mu przynosi zaszczyt.

DZIEN-DZIERZYŃSKI

*siadając obok szambelanicowej*

Padam do nóżek pani szambelanowej.

SZAMBELANICOWA

A, witam pana.

DZIEN-DZIERZYŃSKI

*całując ją w rękę*

*Comment la tête?*

SZAMBELANICOWA

*zbywa go gestem; do męża*

Jakiż to czyn?

SZAMBELANIC

*j. w.*

Pan Strasz pojął swe posłannictwo w sposób pozwalający żywić o nim najpiękniejsze nadzieje... spostrzegłszy, że jestem w chwilowym kłopotcie, chociaż zaledwie przestąpił mój próg, bez najmniejszego namysłu... bo to jest... przyszedł mi z pomocą, dając dowód prawdziwie bezinteresownej sąsiedzkiej uczynności... Bez interesownej, bo nabywając pretensje, zrzekł się prawa egzekucji.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*wstawszy z kanapy, do ucha szambelanicowi przechodząc koło niego*

Spekulacja...

*Ściska mu ramię z znaczeniem.*

SZAMBELANICOWA

*do STRASZA podając mu rękę*

Winszuję panu.

SZAMBELANIC

I prolongował mi sumę.

STRASZ

*do ucha*

Ale na rok tylko... dłużej nie mogę, daję słowo.

SZAMBELANIC

Mamy dosyć czasu do porozumienia się... zresztą to już drobnostka w obec samej treści czynu, który jest prawdziwie obywatelskim; wszakże dnia dzisiejszego, gdy majątki nasze coraz częściej przechodzą do Niemców lub Żydów, należy nam trzymać się za ręce... solidarność tylko może nas zbawić.

STRASZ

*do szambelanicowej*

Ja bardzo przepraszam panią dobrodziejkę, że nie przybyłem we fraku, ale...

SZAMBELANICOWA

O, to rzecz najmniejsza... chęć prędszego poznania naszego domu zbyt nam pochlebia abyśmy uważali na małe przekroczenie formy, spowodowane zresztą zapewne okolicznością, że to z polowania...

STRASZ

Wynagrodzę to następną razą.

SZAMBELANICOWA

Bardzo prosimy.

SZAMBELANIC

Pozwoli pan że go zaprezentuję pannom, mojej córce i pannie Dzieńdzierzyńskiej... także sąsiadka, a do tego warszawianeczka.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Przepraszam, łączycanka.

SZAMBELANIC

*prezentując*

Pan Strasz..

*Puszcza go i zostawia z pannami, które przechadzają się; uklony.*

STRASZ

*n. s.*

U! ładne obydwie.

GABRJELA

*po pewnej chwili milczenia*

Pan niedawno w naszych stronach.

STRASZ

Niedawno... dostałem sukcesję po wuju... majątek w sąsiedztwie.

GABRJELA

*p. c.*

Jakże się panu podobała okolica?

STRASZ

Phi.. proszę pani... po Warszawie...

GABRJELA

Dowód otwartości nie zbyt dla nas pochlebny.

STRASZ

*zakłopotany*

Widzi pani... prawdę powiedziawszy... to ja tak... tu jeszcze dobrze nie znam.. ale zdaje mi się, że sobie gust naprawię i zmienię zdanie.

GABRJELA

*śmiejąc się*

Trzymamy pana za słowo.

*Chodzą w milczeniu.*

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*do szambelanica*

*Chambelan, il faut lui payer... spłacić go i kwita...*

SZAMBELANIC

Zobaczmy, nic pilnego.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Comment?*

SŁUŻĄCY

*wchodząc z prawej strony z serwetą*

Proszę jaśnie państwa do stołu.

STRASZ

*wycofawszy się od pańien do KOTWICZA*

Któraż z nich jest szambelanicówna?

KOTWICZ

Ta, co z panem mówiła.

STRASZ

Jak ona mi przypomina Julkę od Andzi, to rzecz zadziwiająca... nawet taki sam pieprzyk ma na szyi.

KOTWICZ

Przyjrzałeś jej się pan widzę, dobrze.

SZAMBELANIC

*któremu żona wstawszy z kanapy szepnęła; do STRASZA*

Podaj pan rękę mojej żonie.

SZAMBELANICOWA

*do Strasza, który ją prowadzi*

Panu zapewne nie w smak, że musiałeś odejść od panienek... przyznaj się pan.

STRASZ

Hm, istotnie, ja to lubię.

SZAMBELANICOWA

Za to przy stole pozwolę panu usiąść przy mojej córce STRASZ *całuje ją w rękę; żartobliwie* Tylko mi jej pan nie bałamuć, bardzo proszę.

STRASZ

*n. s.*

Zdaje mi się, że zrobiłem podwójnie dobry interes...

*Wychodzą na prawo.*

WŁADYSŁAW

Parę wyrazów zimnych, gryzących... i co ta kobieta zrobiła ze mną!... w co tu wierzyć, w co tu wierzyć!

*Wychodzi głębią.*

## SCENA X

KOTWICZ, DZIĘNDZIERZYŃSKI, *później* SZAMBELANIC.

DZIĘNDZIERZYŃSKI

*zatrzymując KOTWICZA*

*Comte!* temu Straszowi trzeba koniecznie oddać... ja na to tylko wyłącznie dałem te pieniądze... *il faut absolument.*

KOTWICZ

*surwym tonem i żywiej całą tę scenę*

Pańskie słowa są najlepszym dowodem, jak nam jest trudno obyć się bez kredytu żydowskiego.

DZIĘNDZIERZYŃSKI

*Comment?*

KOTWICZ

Wiedziony szlachetnym popędem udzieliłeś pan pożyczkę sąsiadowi, lecz ledwie to zrobiłeś już ci żal i chciałbyś się cofnąć... Skoro tak, oświadczę kuzynowi, a zaręczam że zwróci panu, jakkolwiek z bólem serca, bo wiem, że mu przykrym będzie ten brak zaufania *zapraszając go do wyjścia* Niechże pan będzie łaskaw.

DZIĘNDZIERZYŃSKI

Ale co znowu, co znowu! jaki brak zaufania... *comment peut on!*... zdaje mi się, że dałem najlepszy dowód, iż tak nie jest.

KOTWICZ

Prawda, ale.. pozwól pan sobie powiedzieć, że nadużywaś sytuacji. Wszakże biorąc od kogoś pieniądze, stajesz się ich właścicielem, nieprawdaż?... więc dysponować mi jak mam użyć tych pieniędzy, to przyznam się... *j. w.* Służę.

DZIĘNDZIERZYŃSKI

Hrabio, ja radziłem tylko, i to w waszym własnym interesie.

KOTWICZ

Być może, ale nie jest miłą rzeczą zostawać w zależności. Już to prawdę mówią, iż nic tak nie narusza dobrych stosunków, jak kwestja pieniężna.

DZIĘNDZIERZYŃSKI

*n. s.*

Masz tobie, gotowi się jeszcze obrazić.

KOTWICZ

*n. s.*

Dobra sposobność *głośno* Aby tego uniknąć muszę i ja załatwić z panem nasz rachuneczek.

DZIĘNDZIERZYŃSKI

Jaki znów rachuneczek? czy ja hrabiego napastuję?

KOTWICZ

Tem bardziej. Człowiek z poczuciem godności osobistej, nie powinien narażać się na podejrzenie, iż się nie szanuje... Przepraszam, że nie porachowałem się wcześniej.



DZIEŃDZIERZYŃSKI

*zniecierpliwiony*

Hrabia wiesz, że ta bagatela nie robi mi różnicy.

KOTWICZ

Ale pan pozwolił, że darowizny przyjąć nie mogę...

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Któż mówi... *ce serait compromission.*

KOTWICZ

*dobytując notyskę*

Prowadzę skrupulatne notatki.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Pójdźmy, bo tam czekają na nas.

KOTWICZ

Ogółem winienem panu z tem co przegrałem w wista... pamiętasz pan... 3 ruble 97 kopiejek.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Rozegramy się.

*Ciągnie go.*

KOTWICZ

To swoją drogą.. oraz z kosztami podróży do Łowicza na ś. Mateusz...

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Comment? pardon!* to już do mnie należy.

KOTWICZ

Za pozwoleniem... zapłaciłeś pan za mnie kolej i klasy tam i na powrót... oprócz tego łożyłeś na moje utrzymanie w drodze i w Łowiczu... notowałem wszystko.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ale nie słucham.

KOTWICZ

Otwarcie powiem, że byłem wówczas goły i przyjąłem, ale jako pożyczkę... jedynie jako pożyczkę.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*n s.*

No, i są ludzie, którzy go mają za eksploatatora!

KOTWICZ

To wszystko razem uczyni rubli sr. 79 kopiejek 50.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Bon!* zwrócisz mi pan tam kiedy... chodźmy.

KOTWICZ

No to dołóżże mi pan dla okrągłości 20 rubli 50 kopiejek, to razem będzie setka, którą panu oddam... jak tylko będę miał.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*do siebie, nieco zdziwiony*

*Savez vous quoi c'est bon...* *dobywa pugilares* Mam tylko same 25 rublówki.

KOTWICZ

To nic, zwrócę panu resztę jak zmienię... ale to już osobny rachunek.. setka setką, a panu reszty przypada pół piąta rubla.

SZAMBELANIC

*z serwetą pod brodą*

Sąsiedzie, cóż za ceremonje... zupa stygnie.. prosimy.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Służę.

SZAMBELANIC

*puszczając go naprzód, do KOTWICZA*

Jużeś go widzę naciągnął... *grożąc* Ej, ty, ty... wstyd mi robisz... niepoprawiony, niepoprawiony!

KOTWICZ

Rachowaliśmy się z wista...

*Gra niema; wychodzą na prawo. Zastona spada.*

# AKT III

*Pokój w hotelu wytwornie umeblowany — jedne drzwi w głębi, a dwoje po obu bokach — na przodzie sceny po prawej stronie kanapa; z lewej biurko z przyborami do pisania — za niem mały stolik na którym karafka z wodą i szklanka.*

## SCENA I

ŁECHCIŃSKA

*przy kanapie upina ślubną suknię, ZUZIA pomaga jej KOTWICZ, Chłopcy wnoszą cukry i torty, a dwóch ogromną piramidę.*

KOTWICZ

Ostrożnie chłopcy, bójcie się Boga, żeby się co nie uszkodziło... *do ŁECHCIŃSKIEJ i ZUZII*  
Przypatrzcie się.

ZUZIA

*zachwycona*

Co za śliczny pałac!

ŁECHCIŃSKA

Widziałam ładniejsze.

*KOTWICZ z chłopcami wychodzi na prawo.*

ZUZIA

I to jest do jedzenia?

ŁECHCIŃSKA

A do czegożeś myślała.

ZUZIA

Żeby mi kto dał tego choć na skosztowanie.

ŁECHCIŃSKA

*ironicznie*

Coś panna nabrała smaku do dobrych rzeczy, dawniej tego nie bywało... któż cię to nauczył? *n. s.* Obrzydliwi ci mężczyźni, jak matkę kocham.

ZUZIA

*n. s.*

Jak mnie znowu zacznie zaczepiać, to muszę się przymówić.

KOTWICZ

*wraca z chłopcami, którzy stają rzędem czekając*

No, czegoż jeszcze? możecie iść.

1. CHŁOPIEC

Spodziewaliśmy się na piwo.

KOTWICZ

Fe, wstydz się. Jesteś młody, zdrow, masz przed sobą całą przyszłość i już wyciągasz rękę. To nie ładnie... Widzisz, zawstydziłeś się... ucz się chłopcze ambicji zawczasu, żebyś na starość nie został eksploatatorem cudzych kieszeni.. pracować, pracować..

2. CHŁOPIEC

No jużci, należałoby nam się... darmo nie żądamy.

KOTWICZ

*wypychając ich*

Za roznoszenie jesteście płatni przez pryncypała, więc nie macie nic do żądania.. wynoście się... *do z chłopca* z ciebie już nic dobrego nie będzie, przepowiadam ci... *wraca od drzwi; do ŁECHCIŃSKIEJ* W jednym pokazał rozum nasz pan młody, to jest, że spuścił się na mój gust w urządzeniu cukrowej kolacji... jaki wynalazłem tokaj, to dosyć powąchać butelkę, a szampeter, świeżuteńka marka, jeszcze prawie nie znana w Warszawie.

ŁECHCIŃSKA

*ironicznie*

Hrabia jest w swoim żywiole.

ZUZIA

*do KOTWICZA*

A nas pan nie poczęstuje cukierkami?

KOTWICZ

O! jeszcze ja cię będę paść słodyczami.. nie masz na to swojego adonisa?

ZUZIA

Co to jest adonis?

KOTWICZ

No, kochanek.

ZUZIA

*figlarnie*

A któż to taki ma być?

KOTWICZ

Twój Michał.

ZUZIA

Piu! co mi za!... trafił pan jak kulą w płot.

KOTWICZ

Idziesz przecie za niego.

ZUZIA

Tak sobie na męża to ulizie, ale na kochanka.. Boże!

KOTWICZ

Ale fe! Zuzia zaczyna być dowcipną.

ZUZIA

Kazali to i idę, zawsze lepiej niż tak zostać... za jakim takim chłopem, to tak samo jak za płotem... bezpiecznej.

ŁECHCIŃSKA

*n. s*

Jak matkę kocham z kądem ona ma taki rozum.

KOTWICZ

Niby, że jest parawan... brawo, Zuzieczko, brawo!... ale widać, że ci się gust zmienił w Warszawie, bo dawniej Miszel podobał ci się.

ŁECHCIŃSKA

*zniecierpliwiona*

Nie psuj jej też hrabia w głowie, do czego to podobne... *do ZUZII* Idźno do magazynu i dowiedz się, czy zarzutka już gotowa. *ZUZIA idzie* tylko czy ty trafisz?

ZUZIA

O la Boga!

*Wybiega głębią.*

KOTWICZ

*patrząc za nią*

Jak się to wytresowało w krótkim czasie, to nie do uwierzenia.. *p. c.* uważała pani Łechcińska, z jakim to ona akcentem powiedziała, że kazali jej.

ŁECHCIŃSKA

No to cóż?

KOTWICZ

Oczywiście stosowała to do Strasza... fines dziewczyna.

ŁECHCIŃSKA

Nie wmawiajcie też w nią nie stworzonych rzeczy, bo jej się do reszty w głowie przewróci. Wielkie historie, że pan młody wyposaża pokojówkę żony i wydaje ją za swojego fagasa.

KOTWICZ

Którego umyślnie dla tego odmówił Dzieńdzierzynskiemu.

ŁECHCIŃSKA

A choćby i tak było, myśli hrabia że się tego złękniemy? oj, oj! dla nas to jeszcze lepiej. Nie ma jak tacy na mężów.. będzie pantofel.

KOTWICZ

Ale fe!

ŁECHCIŃSKA

Jak matkę kocham, święta prawda. Jak tylko ma co na sumieniu, to prochy zmiata przed żoną i daje jej wolność robienia co się podoba.

KOTWICZ

Więc jakże pani Łechcińska wróży temu małżeństwu?

ŁECHCIŃSKA

Zuzi z Michałkiem?

KOTWICZ

E, to już ma swoje przeznaczenie. Mówię o naszej młodej parze... co też to z tego wyniknie?

ŁECHCIŃSKA

Co ma wynikać... to co we wszystkich małżeństwach.

KOTWICZ

Piekło.

ŁECHCIŃSKA

Tego piekła nikt się nie boi i każdy do niego lezie.

KOTWICZ

Szczególniej kobiety.

ŁECHCIŃSKA

Cóż mają robić? my, bo jesteśmy prawdziwe ofiary... każda czeka czyjego zmiłowania, to już świat taki. Mężczyzna stary kawaler, to sobie pan, słowo daję... każdy o nim powiada: nie ożenił się, bo mu się tak spodobało... a o starej pannie jak? siedzi, bo jej nikt nie chciał. I co się tu dziwić kobiecie, że gotowa nawet na piekło, byle być w niem panią.

KOTWICZ

*lekko*

Już pani świata nie przerobisz... p. c. A jakże się pani Łechcińskiej zdaje, kochają się oni, czy nie?

ŁECHCIŃSKA

A to po co? żeby później łzy wylewać?... gdzież to hrabia widział, żeby z kochania było co dobrego?

KOTWICZ

Ale fe!

ŁECHCIŃSKA

Mężczyźni nie warci żeby się do nich rozplęwać; każdy żeby się zaklinał świętymi słowami że kocha, to mu nie można wierzyć. Póki sięga, to przysięga.. a później lata

za innemi, a ty, żono, wstydz się przed ludźmi, udawaj że o to nie dbasz, żeby się nie wyśmiewali z pokrzywdzonej. Nie lepiej to od razu powiedzieć sobie, że mi to wszystko jedno? Nasza panna Gabryela ma święty rozum, jak matkę kocham... niech tam mąż będzie sobie jaki chce, dosyć że ona będzie panią całą gębą... to jest grunt.. a to, co hrabia mówi o tem... tam... niby o Zuzi... o, Jezus! i owszem!... to jest klucz do jego kasy.

KOTWICZ

A jak go nie puści z rąk?

ŁECHCIŃSKA

Co!... to już nasza rzecz. Mój hrabio, każda z nas sprzedałaby was wszystkich mężczyzn dziesięć razy... my słyszymy jak trawa rośnie. On to robi niby w sekrecie, tymczasem i panna wie, i starsza pani wie, ale patrzą przez szpary... o, tak *przyklada palce do oczu* właśnie dla tego! I jak będzie na to czas, to ta sprawa przyjdzie na stół, nie bój się hrabia...

KOTWICZ

Więc pani Łechcińska powiada, że ona weźmie górę?

ŁECHCIŃSKA

Nie mam o nią kłopotu.

KOTWICZ

A ja, co prawda o niego.

ŁECHCIŃSKA

O, bo hrabia trzyma teraz z nim.. taki przyjaciel... ja wiem, ty a ty... ale zobaczymy... A dla czegoż to on, teraz już tak się absztyfikuje, myśli gotów zgadywać, przecie nie z czułości, bo któżby patrząc na nich domyślił się, że to już dziś ich ślub?... tylko na złodzieju czapka gore... to za to, co się dzieje na boku.

KOTWICZ

Co on sobie z tego robi!

ŁECHCIŃSKA

Mój hrabio, jeżeli tak, to i na to mamy radę: jedno na boku, to i drugie potrafi... jak Kuba Bogu tak Kubie Bóg... *po chwili* Ciekawa też jestem, jaką minę będzie miał na ślubie pan Władysław...

KOTWICZ

Czy myślisz pani że będzie mdlał? przecież to mężczyzna.

ŁECHCIŃSKA

No, no, nie chwalcie się tą swoją tęgością. A jak on to teraz wygląda, jak inny... schudł, wyłysiał...

KOTWICZ

Cóż dziwnego, tyfus.

ŁECHCIŃSKA

Tyfus... ale z czego?... Jezus! jaki on też był w niej zadurzony... chociaż, żeby miał rozum, to właśnie teraz niebo mu się otwiera... bo coby to było gdyby się byli pobrali... bieda, lament, i kochaj że się tu w takich okolicznościach. Tym czasem tak... jedwabne życie, jak matkę kocham *ciszej* jak ona zawsze go lubi! dziś już z kilka razy się dopytywała, czy nie przyjechał.

KOTWICZ

Ja w moich młodych latach kochałem się na zabój w sąsiedecce prześlicznej, ale golej... i ona za mną szalała... Ale wie pani Łechcińska, daję słowo honoru, nie przeszło nam przez myśl małżeństwo.

ŁECHCIŃSKA

Pewno hrabia już wtenczas ostatkami gonił.

KOTWICZ

Sam jej wynalazłem męża.

ŁECHCIŃSKA

Żeby się kochać z czystym sumieniem... rozumiem... Ale musiał hrabia dopiero dobrać safandulę.

KOTWICZ

Całe życie była mi wdzięczną.

ŁECHCIŃSKA

Co! kto chce, to się tak urządzi na świecie jak w raju... tylko trzeba mieć rozum. Najgorsze to czulenie się, to nic nie warto, jak matkę Kocham... *p. c.* Zapewne tylko go patrzeć, bo przecie wypada żeby był družbą... Nie uwierzy hrabia, jak jestem ciekawą.

## SCENA II

KOTWICZ, ŁECHCIŃSKA, MICHAŁEK *w gustownej liberji strzelca z pysznym bukietem w ręku; później ZUZIA.*

ŁECHCIŃSKA

Piu! patrzcie państwo!... co za bukiet... on się jednak zna na rzeczy.

MICHAŁEK

Ładny, prawda? ale co to kosztuje!... jak płacił, aż mi żal było... za dwa cisnął całą garść papierków.

ŁECHCIŃSKA

*ciekawie*

Za dwa? a gdzież drugi?

MICHAŁEK

Drugi? *u. s.* bodajże cię... *głośno* jaki drugi?

ŁECHCIŃSKA

Czy nie powiedziałeś, że kupił dwa bukiety...

MICHAŁEK

No, to co?

ŁECHCIŃSKA

Nie udawaj głupiego, mój kochany.

MICHAŁEK

Wszystkie mu były za małe, więc kupił dwa i kazał z tego zrobić jeden taki...

*Na stronie robi gest drwiący, pokazując język.*

ŁECHCIŃSKA

Wiesz że twój pan miał doskonały węch odmawiając cię panu Dzieńdzierzynskiemu... takiego mu właśnie potrzeba, jak ty... tylko wyciągnij dobre zasługi... *poufnie* komuś nosił drugi?

MICHAŁEK

Mogę przysiąc że nie nosiłem nikomu *n. s.* tylko posłaniec z pod teatru.

ŁECHCIŃSKA

*nie kontenta*

No, to zostaw i wynoś się.

MICHAŁEK

Nie mogę, dalibóg, bo pan kazał mi zostać tu na usługi, a takie jest psie prawo, że trzeba słuchać pańskiej trąby.

ŁECHCIŃSKA

Tylko nie odzywaj się tak ordynaryjnie, bo tu są pokoje nie psiarnia, rozumiesz?

ZUZIA

*wchodząc*

Powiedzieli w magazynie, że będzie gotowe za pół godziny. *sposzrzega bukiet* ah! jakież to śliczne kwiaty... jej! *do* MICHAŁKA czy to dla panienki?

MICHAŁEK

*drwiąco*

Myślałaś że dla ciebie?

ZUZIA

*odbierając bukiet*

Co prawda, wolałabym co innego.

KOTWICZ

*do* MICHAŁKA *poufale, biorąc go na bok*

Słuchaj, bo mnie przecie możesz powiedzieć: gdzie nosiłeś drugi bukiet?

MICHAŁEK

*z niewinną miną*

Proszę pana! przecie gdyby tak było, tobym zaraz powiedział.. pan mnie zna.

KOTWICZ

Na Chmielną?

MICHAŁEK

Żeby mnie pan zabił, nawet nie wiem, gdzie Chmielna.

KOTWICZ

*do siebie*

Z pewnością dla Walerki.

### SCENA III

*Poprzedzający, SZAMBELANIC wchodzi głębią.*

SZAMBELANIC

Nie macie tam co drobnych dla dorożkarza?

ŁECHCIŃSKA

*n. s.*

Oho!

SZAMBELANIC

Łechcińska z *wyciągniętą ręką* chociaż z rubla, będzie miał dosyć.

ŁECHCIŃSKA

I grosza pan przy mnie nie znajdzie... *n. s.* Byłoby na wieczne nie oddanie.

*Wychodzi na lewo z ZUZIA, zabierając suknię.*

SZAMBELANIC

*do* KOTWICZA

A ty nie masz?

KOTWICZ

A ja zką!

SZAMBELANIC

Robiłeś jakieś zakupy.

KOTWICZ

Jako znawca i biegły, ale nie płatnik.

SZAMBELANIC

*do Michałka*



To idźże mu powiedz, niech czeka, biorę go na cały dzień. MICHAŁEK *wychodzi* No, nie śmieszna to rzecz, żebym ja, przyjechawszy do Warszawy na ślub córki, którą notabene wydaję za milionera, nie miał rubla w kieszeni.

KOTWICZ

A gdzież to, co dał Goldfisz?

SZAMBELANIC

No, nie ma, poszło!... mówisz jak dziecko... Głupie kilka set rubli... rzecz niesłychana jak w tej Warszawie lecą pieniądze... nie mieć czym zapłacić dryndy.

KOTWICZ

Wszakże jest przez cały dzień kareta.

SZAMBELANIC

Dla kobiet, które jej nie odstąpią na pół godziny... musiałbym chyba jeździć z niemi jak patriarchy i asystować po sklepach... ja potrzebuję oddzielnie. Zawsze co parwenjusz to parwenjusz, trzebaby mu łopatą kłaść w głowę, że człowiek szanujący się powinien wszystko robić wedle wymagań sfery, do której ma pretensję należeć... Kareta! bardzo ładnie... ale jeżeli się zdobył na tyle galanterji dla narzeczonej, to mógł być też i ojcu się przysłużyć chociaż porządną dorozką... To tak jak z teatrem... kupi łożę i każe nam się wszystkim mieścić jak w arce Noego, bo to jest... nie cierpię łoży, chyba gdy w niej jestem sam, albo we dwoje... Nie, nie, nie ma tego, co to w nas jest już wrodzonym.. uczyć mu się dopiero. *po chwili* A z tym drugim żydem widziałeś się?...

KOTWICZ

Widziałem. Da, ale chce żeby Strasz poręczył.

SZAMBELANIC

No to niech ręczy, to teraz wspólny interes.

KOTWICZ

Trzeba go poprosić.

SZAMBELANIC

Co? ja go mam prosić! nie bredź też, mój hrabio... to jego obowiązek. Ale i żyd szelma, żeby stawiać takie żądanie. Czy myśli, że ja teraz jestem pod kuratelą, czy co? mogłeś go być zbesztać.

KOTWICZ

Zrobiłem coś nakształt tego... dla zwyczajaju.

SZAMBELANIC

Ale bo głupi z swoją obawą. On chyba nie wie, co to jest Czarnoskała.

KOTWICZ

Zna ją jak własną kieszeń.. oglądał hypotekę.

SZAMBELANIC

Długów już tak jakby nie było.

KOTWICZ

Bo wszystkie Strasz ponabywał.

SZAMBELANIC

Więc powykreślane...

KOTWICZ

Gdzie tam! wszystko jak było tak jest, tylko na jego imię.

SZAMBELANIC

*nico zmieszany*

Nie może być! *p. c.* przecież tego nie zrobił w celu ograniczenia mi kredytu, nie przypuszczam nawet nic podobnego.. To tylko jakieś zapomnienie, nieuwaga... *p. c.* W każdym razie, trzeba się z nim rozmówić; mnie samemu nie wypada, ale rachuję na ciebie..

KOTWICZ

Że.

SZAMBELANIC

Że otworzysz mu oczy... bo to tylko jest nieświadomość sytuacji. *chodzi; p. c.* Jeżeli wydając za niego córkę, robię pewne ustępstwo z zasad, mogę się tłumaczyć że poszedłem za prądem czasu, bo dziś panuje wiatr demokratyczny... mamy już liczne tego przykłady w naszym obozie... jest to konieczność dziejowa. Potrzeba nam odświeżyć krew, a co ważniejsza odzyskać środki materialne, których nas okoliczności pozbawiły. Plutokracja powinna w nas wsiąknąć.

KOTWICZ

Jakież cel mówić mu o tem? on nawet tego nie zrozumie.

SZAMBELANIC

To też naszym obowiązkiem jest oświecić go. Ludzie nowi nie mają pojęcia o doniosłości ofiary jaką się robi przypuszczając ich do prerogatyw zdobytych wiekowemi zasługami rodu. Taki Strasz może być nie zły człowiek, ale pod tym względem z pewnością hebes... trzeba mu dać o tem jakieś wyobrażenie.

KOTWICZ

Dobrze, ale..

SZAMBELANIC

Wiem, że to zrobisz, bo mnie pojmujesz... *biorąc jego rękę* Spuszczam się zupełnie na ciebie. Jesteś kawał lamparta, to prawda...

KOTWICZ

Ja!

SZAMBELANIC

No, o tem nie ma gadania... ale w pewnych razach można na ciebie liczyć, bo bądź co bądź, w tobie jest krew.

KOTWICZ

Spodziewam się. Ale właściwie o cóż kuzynowi chodzi? bo teorje...

SZAMBELANIC

O kredyt, no nie rozumiesz? o kredyt bez tych wszystkich szykan, które mi krew psują. Jeszczeż tego nie mam zyskać w zamian za ofiarę którą robię? Ładniebym wyszedł Ja nie mogę być bez pieniędzy! powiedz mu to. Byłem delikatnym, ale wszystko ma swoje granice.

KOTWICZ

Ależ dziś ślub.

SZAMBELANIC

Tem bardziej. Zresztą i od ołtarza się rozchodzą.. to mój warunek, od którego nie odstąpię. Po ślubie, gdy oni sobie pojedają, ja chcę tu zostać, odetchnąć trochę w Warszawie bez tych głupich interesów na głowie... i żona tego potrzebuje.

KOTWICZ

A jeżeli będzie twardy? on ma kuzyna w ręku, ponabywawszy długi.

SZAMBELANIC

Nie wierzę aby chciał z tego korzystać. Opinjaby go ukarała *drzwi w głębi otwierają się* A! kobiety, pogadamy jeszcze o tem.. pójdziesz do mnie.

## SCENA IV

*Poprzedzający, SZAMBELANICOWA, GABRJELA ubrane jak na miasto, POLA ubranie do pokoju, otulona szalem, MICHAŁEK z pakietami i pudełkiem; p. c. ŁECHCIŃSKA i ZUZIA.*

SZAMBELANICOWA

*we drzwiach, całując się z POLĄ*

Zkądżeś ty się tu wzięła?

POLA

Zobaczyłam przez okno jakieś panie wysiadały z karety, i tak mi było pilno przywitać się, że wyszłam umyślnie na korytarz.

*Wchodzą na scenę.*

SZAMBELANICOWA

Moja droga, jak się cieszę, że cię widzę... dawno przyjechaliście?

POLA

Może przed godziną...

*Całuje się kilka razy z GABRJELĄ.*

SZAMBELANIC

Witamy z podróży... jużemy prawie zwątpili o państwu.

POLA

Przyrzekłam Gabrjeli że będę, i chyba tylko stan zdrowia zatrzymałby mnie w domu.

SZAMBELANIC

O to też obawialiśmy się.. Gdzież papka?

*Z lewej strony wchodzi ŁECHCIŃSKA z ZUZIĄ, która zdejmuje salopy, odbiera kapelusze i odnosi na lewo; ŁECHCIŃSKA odbiera od MICHAŁKA paczki i pudełko do którego zagląda; MICHAŁEK wychodzi.*

POLA

Jest właśnie u siebie.

SZAMBELANIC

Który numer?

POLA

Dziesiąty.

SZAMBELANIC

Czy sam?

POLA

W tej chwili jest u nas pan Maurycy.

SZAMBELANIC

*żartobliwie*

Jak on się to prędko dowiedział o państwu.

POLA

*zakłopotana*

Przypadkiem... przechodząc.

SZAMBELANIC

*n. s.*

Muszę się i ze starym zobaczyć... *do KOTWICZA pójdzno ze mną...*

*Wychodzą na prawo.*

GABRJELA

*do POLI, apatycznym głosem*

Zdejmże szal, rozgość się... tyle mamy z sobą do mówienia.

POLA

*żegnając się z szambelanicową, potem z GABRJELĄ*

Później, teraz nie mam czasu, posłałam po pannę z magazynu dla przymierzenia sukni. Obstalowana przez pocztę, to może będzie trzeba co poprawić.

SZAMBELANICOWA

Istotnie, dziś u nas czysty jarmark, więc do widzenia. Ale! jakąż będziesz miała suknię?

POLA

Jasno niebieską *pou-de-soir*.

SZAMBELANICOWA

Ah! to powinno ci być w niej prześlicznie, nieprawdaż Łechcińska? *żywo* tylko nie każe garnirować koronką.

POLA

Zostawiam to modniarce: już to co do tych subtelniejszych tajemnic strojów, to przyznam się...

SZAMBELANICOWA

Ale bo widzisz, panienco nie wypada, to stosowne tylko dla mężatek.. Gabrjela jako panna młoda, to co innego.

POLA

*która od niejakiego czasu uważała GABRJELE, n. s.*

Jaka ona zamyślona.

ŁECHCIŃSKA

*która otworzyła pudełko i wydobyla stroik na głowę, przyglądając mu się*

Pieścidelko, jak matkę kocham.

SZAMBELANICOWA

No, schowaj, schowaj.. *do POLI* To na pierwsze wizyty... *p. c.* no, do widzenia, moje życie, jak się załatwisz z modniarką, przyjdź do nas.

*Odchodzi na lewo z ŁECHCIŃSKĄ.*

## SCENA V

*Gabrjela, Pola*

POLA

*patrzy jej w oczy; p. c.*

No cóż? jesteś szczęśliwą?

GABRJELA

Pytasz się! cóż mi brak?... patrz! to pierścionek zaręczynowy.. ah! prawda, znasz go już... ale nie widziałaś tych kolczyków, przypatrz im się, pokażę ci jeszcze resztę garnituru... I wszystko odpowiednio do tego: apartament pierwszej klasy, codzień łoża, karetka, strzelec na usługi.

POLA

*protestując*

Moja droga..

GABRJELA

Chcesz powiedzieć: prześliczne rzeczy, ale niestety dają narzeczonemu pewne prawa... może być zbyt natrętnym... Otóż i pod tym względem nie mam nic do życzenia. Zgaduje moje myśli, ledwo objawię życzenie już je spełnia, otworzył nam kredyt w sklepach, nie targuje się gdy chodzi o zrobienie mi przyjemności... i obok tego nie prześladowuje mnie sobą. Czyż można więcej żądać? widuję go raz na dzień... i to prawie nigdy sam na sam... *śmiejąc się z przymusem* Oboje tego unikamy... jakbyśmy się umówili.

POLA

Gabrjelo, co ty mówisz?

GABRJELA

Nie tałam się nigdy przed tobą z mojami przekonaniem, więc i dziś mogę być otwartą. Trzeba mieć odwagę do ich obrony. Nie ma nikogo tak naiwnego coby uwierzył, że idę za mężem z przywiązania, ale ręczę ci, że większość mi zazdrości...

*Wzdryga się nagle.*

POLA

Co ci to?

GABRJELA

Dreszcz jakiś *śmiejąc się, j. w.* Śmierć mi zajrzała w oczy... to ten sen dzisiejszy.

POLA

Jaki sen?

GABRJELA

Wystaw sobie, co mi się śniło: W ślubnej sukni stałam nad otwartą trumną. Mój naręczony także ubrany jak do ślubu trzymał moją rękę w zimnej jak lód dłoni i szepcząc jakieś niezrozumiałe zaklęcia usiłował nakłonić, abym zajęła to niewygodne łóżko. Spojrzenia jego wywierały na mnie jakiś wpływ magnetyczny, któremu musiałam być posłuszną... szłam niby lunatyczka i już miałam uleść nieznannej sile, gdy na szczęście obudziłam się. Czy może być głębszy sen?

POLA

*przerażona*

Dla Boga! ja bym to uważała za wyraźną przestrożę.

GABRJELA

*p. c.*

Zadaleko zaszło. Moja droga, kto walczy, ten może uleść i nic dziwnego jeżeli wyobraźnia nasuwa mu niepokojące obrazy. Ale też może i zwyciężyć. Moje życie od samego początku było walką, więc przywykłam do jej niepokojów, i nie robią na mnie takiego wrażenia. Mam siły do zniesienia wiele.

POLA

Czy ty ich nie przeceniasz?

GABRJELA

Nie wiem, być może... ale tego bądź pewną, że przed nikim uskarżać się nie będę. Mogę cierpieć, ale nikt tego po mnie nie pozna... Czegobym nigdy nie zniosła, to litości... zasługiwać na politowanie ludzi, byłoby dla mnie czemś okropnym. Zresztą... zobaczymy. Wiesz dla czego i dla kogo to robię.

POLA

*p. c. z wylaniem*

Życzę ci, już jeżeli nie mogę powiedzieć szczęścia, to sił do wytrwania... *całuje ją* do widzenia.

GABRJELA

*z wybuchem czułości, ściskając ją*

Jak jestem szczęśliwą, że przyjechałaś... nie będę przynajmniej samą... moja Polu! *wybuchła na chwilę spazmatycznym płaczem* Ah! ten sen.

POLA

Moja droga!.. *trzymając się w objęciach; p. c. patrząc jej w oczy badawczo* Pan Władysław będzie na ślubie?

GABRJELA

*krótko*

Nie wiem *p. c.* powinien... spodziewamy go się... gdyby nie był, pokazałby brak serca. *p. c.* A! kto wie? ludzie są egoiści.

ŁECHCIŃSKA

*we drzwiach*

Proszę panniūci, fryzjer przyszedł..

*Znika; Gabrijela podaje rękę Poli, poczem robi parę kroków na lewo. Po chwili wraca się i rzuca w jej objęcia, ściskając ją kilkakrotnie, poczem Gabrijela śpiesznie wychodzi na lewo.*

## SCENA VI

POLA *później* MAURYCZY.

POLA

*sama, stoi przez kilka chwil zamysłona z rękami splecionymi przed sobą; p. c.*

Biedna, biedna ona!... a jednak gdyby chciała, mogłaby być szczęśliwą... bo ja widzę co się w jej sercu dzieje... (p. c) Chcieć, czyż to dosyć?... a ja?... czyżbym nie chciała.. czyżbym dla niego nie poświęciła wszystkiego.... ale któż wie, czyby mnie nie spotkał najboleśniejszy zawód?... może lepiej kazać milczeć uczuciu... Boże! Boże! kto mi wskaże co mam zrobić!... *ukrywa twarz w dłonie, p. c.* Czy też to wszystkim tyle niepokoju robi to nieszczęśliwe serce?

*Zamyśla się; p. c. idzie w głąb, przy drzwiach spotyka się z MAURYCYM, który wchodzi.*

MAURYCZY

Pani sama?

POLA

Przed chwilą rozeszliśmy się z Gabrjelą. A pan już skończyłeś konferencję z ojcem... o cóż to szło? słyszałam jakby jakąś sprzeczkę.

MAURYCZY

*zakłopotany*

Robiłem ojcu pewną propozycję, na którą nie przystawał.

POLA

Cóż to było?

MAURYCZY

*z wahaniem*

Powiedziałbym pani, ale..

POLA

O, jeżeli tajemnica, to nie wymagam.

*Kasze.*

MAURYCZY

*troskliwie*

Pani przechodzisz przez korytarz tak lekko ubrana, a tam są przeciągi... przyniosę pani coś cieplejszego... futro...

POLA

O! niech się pan nie fatyguje... te kilka kroków... zresztą ten szal taki ciepły... *kasze i dobywa chustkę, przyczem wypada fotografia* Do widzenia.

*Wychodzi.*

## SCENA VII

MAURYCZY *późn.* DZIEŃDZIERZYŃSKI.

MAURYCZY

Pani coś zgubiłaś *podnosi fotografię i idzie z nią do drzwi* Panno Paulino... *nagle wstrzymuje się* Co widzę! czy mnie wzrok nie myli... to ja! *z wzrastającym uniesieniem* ja! o Boże!... więc ona mnie kocha!... kocha mnie! kocha!... *chodzi wielkimi krokami* nie wierzę mojemu szczęściu... *p. c. innym głosem* ale naturalnie że kocha... inaczej, czyżby nosiła przy sobie moją fotografię? ja tak samo miałem ją tu, zawsze, na sercu *dobywa fotografię* Mój aniołek najdroższy! moje szczęście jedyne!... o! teraz tem bardziej muszę doprowadzić do skutku moje zamiary, choćby ze strony ojca były przeszkody... Niech ma dowód niezbity, że nie cofnę się przed niczem, co może mi zapewnić jej posiadanie.. *cahuje fotografię kilkakrotnie; żartobliwym tonem.* A! moja pani, toś ty mnie kochała a tyle mi nadokuczałaś, dla jakiegoś błahego przywidzenia... poczekaj! zemszczę się! *z tkliwością* zemszczę się poświęcając ci całe moje życie, aniele mój... Ah! jakiż ja jestem szczęśliwy!

*Chodzi ogromnymi krokami cisnąc skronie rękami.*

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*staje we drzwiach patrząc na MAURYCEGO*

Dobryś!... wziął to do serca... *chodzi za nim* Maurycy!... nie słyszy... Maurycy! nie bądź dzieckiem.

MAURYCY

*A! rzucając mu się w objęcia* Ojcie, wszystko będzie dobrze

*Ściska go i całuje namiętnie.*

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Attendez, udusisz mnie... uwalnia się z jego objęć* Dobrze? no, to chwała Bogu... Więc rozmyśliłeś się... przestaniesz zawracać mi głowę tym twoim projektem? ja tu za tobą przyszedłem umyślnie po to, żeby ci jeszcze raz powiedzieć, i to stanowczo, że z tego nic nie może być.

MAURYCY

Musi być. Od tego nie odstąpię, zwłaszcza teraz.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Comment?* a cóż się stało nowego?

MAURYCY

*poufnie*

Zdaje mi się, że panna Paulina mnie kocha.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*uradowany*

Niepodobna! wygadała się?

MAURYCY

Przypadkiem pochwyciłem dowód.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*j. w.*

Kiedy? teraz?

MAURYCY

Przed chwilą.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Dla tego też to miała taką minę powróciwszy ztąd... *ściskając go* Winszuję ci z całego serca. Oświadczyłeś się zaraz? z kopyta?

MAURYCY

Nie.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Comment*, nie? a jakież to safandula! Takie rzeczy kończy się na gorąco. Chodź zaraz ze mną... jeszczeby trzeba było na świadka, żeby się które nie rozmyśliło.

MAURYCY

*śmiejąc się*

Jakżeż pan to traktujesz.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ale bo ja wam nie wierzę... no, zawsze interes jest na lepszej drodze... tylko już tego wcale nie rozumiem... *Écoutez*, skoro masz pewność że cię kocha...

MAURYCY

Ale nie pewność, domysł dopiero.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

No chociażby domysł, to z tych twoich zamków na lodzie możesz skwitować.

MAURYCY

Broń Boże!

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Rozumiem, że mogłeś projektować *par désperation*, ale...

MAURYCY

Właśnie teraz chcę dać dowód pannie Paulinie, że ją kocham bezinteresownie.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Mais pourquoi?*.. teraz ona cię już będzie kochać takim jakim jesteś, możesz założyć ręce i nic nie robić. Ja zapracowałem tyle, że wystarczy dla moich dzieci i wnuków *p. c.* a zresztą, skoro chcesz pracować dla tego, że z waszego majątku nic ci się nie okroi, to pracuj w Zabrodziu. Ja abdykuję, nie znam się na gospodarstwie.

MAURYCY

Wstydzilibym się.... Przyjść do gotowego samemu nic nie wniosłszy... Co innego, gdybym mógł mieszkać w Czarnoskale..

DZIEŃDZIERZYŃSKI

No, to w Czarnoskale! jeszcze lepiej, majątek familijny. Spłacimy tego twojego miłego szwagierka, nawet jeżeli chcesz zahypotekuję tę sumę na imię Poli, będziesz mi płacił procent.

MAURYCY

Co za sztuka! to nie byłby dowód miłości, a ja muszę przekonać pannę Paulinę, że mi chodzi o nią a nie o majątek. Zresztą, jak się pan będziesz opierał, to się zrzeknę chyba posagu.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

To, to, to. Sfiksowałeś wyraźnie, *tu as fixé*. Czy myślisz że pozwolilibym na to, żebyście siedzieli o głodzie i chłodzie. Cóżbym ja był za ojciec!

MAURYCY

A ja co za mąż, gdybym nie potrafił własną pracą utrzymać żony.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*zdesperowany*

No, i gadajże tu z nim!

## SCENA VIII

*Poprzedzający*, WŁADYSŁAW.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

A! pan Władysław, jak się masz. *ściska go*, *poczem* WŁADYSŁAW *ściska się* z MAURYCYM Jesteśmy *en famille*, w całym komplecie; bardzo dobrze, bo rozsądzisz tu sprawę pomiędzy mną a tym upartym kozłem.

WŁADYSŁAW

*roztargniony*, *wyraża się lakonicznie*

On zawsze był takim.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Wyobraź sobie: daję mu córkę, bez żadnych ograniczeń, ze wszystkim co posiada i do czego ma prawo, a on stawia warunki, targuje się ze mną.

WŁADYSŁAW

Chciwość?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Comment?* a wiesz co, że naprowadzasz mnie na myśl: to chyba chciwość. MAURYCY *się śmieje* bo że się chce zrzec posagu, to gadanie, wie dobrze że go i tak nie minie... ale zachciało mu się jeszcze samemu robić majątek. Powiedział mu ktoś plotkę, której uwierzył, że ja zawsze prowadzę mój handel hurtowny, tylko pod inną firmą.

WŁADYSŁAW

Dziwiłbym się panu.



DZIEŃDZIERZYŃSKI

*tryumfując do MAURYCEGO*

A co! *voyez vous!* do WŁADYSŁAWA Ale nie wierz temu, to nieprawda.

WŁADYSŁAW

Dziwiłbym się, gdybyś pan zmienił firmę. Po co?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Comment?* ale czekajno! więc chce wejść ze mną w spółkę, stać za kantorem, zapisywać rachunki i świecić swoim nazwiskiem.. szlacheckie nazwisko mojego zięcia na szyldzie! nigdy!

WŁADYSŁAW

Ma rozum.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Szarzać się dla pieniędzy, to rozum?

WŁADYSŁAW

Najprzód, że to nie jest szarzeniem się; a potem, pieniądz jest wszystkim.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Zgoda i na to. Więc niechże go nie lekceważy i bierze kiedy mu dać.

WŁADYSŁAW

Przyjmować, gdy sam nic nie ma, byłoby zbyt wielkie ryzyko.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Jakie ryzyko? Pola bierze go jak jest, nie pyta... *elle ne demande pas...* szaleje za nim, sam mi to powiedział.

MAURYCY

A to kiedy?

WŁADYSŁAW

Uczucie miłości jest przechodniem. Pannie Paulinie dziś może się zdawać, że go kocha.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*zły*

Zdawać, zdawać... jak się co zdaje, to widać że tak jest, inaczej jakżeby się mogło zdawać...

WŁADYSŁAW

Przypuśćmy. Ale czy pan wiesz, co się dzieje na dnie jej serca? czy nie kielkują tam małe ziarenka wątpliwości? gdzieś dowód, że on nie gra roli zakochanego dla interesu?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*patrzy na MAURYCEGO*

On?... nie! to być nie może.

WŁADYSŁAW

Dla czego?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Najlepszy dowód, że dla niej chce głupstwo zrobić.

WŁADYSŁAW

Więc pozwól mu pan na to głupstwo, chociażby na próbę. Jeżeli wytrwa...

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*p. c.*

Co z wami gadać! warjaty... *biorąc MAURYCEGO pod rękę* Chodź ze mną do ojca... chociażes pełnoletni, on zawsze ma nad tobą władzę... jeżeli na to pozwoli... no! *n. s.* tak głupim przecie nie będzie.

MAURYCY

Co bądź ojciec powie, stawiam panu dwa pewniki: od zamiaru mego nie odstąpię i pannę Paulinę mieć muszę.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Dobrze, dobrze. *do WŁADYSŁAWA* Ty idziesz z nami?

WŁADYSŁAW

Na chwilę tylko, bo mam jeszcze do załatwienia parę interesów przed obrzędem.

DZIEŃDZIERZYŃSKI z MAURYCYM *wychodzą na prawo.*

## SCENA IX

ŁECHCIŃSKA, WŁADYSŁAW

ŁECHCIŃSKA

*która od kilku chwil czatowała we drzwiach z lewej strony, zatrzymując WŁADYSŁAWA*

A! złoto, srebro widziałam, a naszego pana Władysława już nie pamiętam kiedy, słowo daję.

WŁADYSŁAW

*ironicznie*

Zkądże tyle łaski... naszego! nie wiedziałem, że nas łączą jakie nici sympatyczne, i to do tego stopnia.

ŁECHCIŃSKA

Nasz, nasz, bo nie ma godziny, nie ma minuty, żebyśmy z panną Gabrjelą nie mówiły o panu. Już tak zaciętego człowieka jak pan, nie widziałam w życiu, jak matkę kocham. Żeby się tak zawziąć, to niesłychane rzeczy. Ale ja mówiłam i perswadowałam, że pan przyjedziesz.

WŁADYSŁAW

Zagadkowe słowa dla mnie.

ŁECHCIŃSKA

To już tam nasza panna Gabrjela panu wytłómaczy. Jeżeli się pan nie poczujesz do niczego, to tem lepiej... widać, że było nieporozumienie *ciszej* zatrzymaj się pan chwilę, zaraz tu wyjdzie, chce się z panem zobaczyć, tak sobie, sam na sam... bo to dziś przy tym rejtach trudno było złapać dobrą sposobność... momenciczek tylko.

*Wychodzi na lewo.*

## SCENA X

WŁADYSŁAW *p. c.* GABRJELA.

WŁADYSŁAW

*sam*

Jakto! mnie serce mogło jeszcze zabić!... rzecz dziwna. Sądziłem, że to przejście uciżyło je na zawsze... tłukło się w piersi, ale już tylko jak wyschnięty orzech w lupinie... *p. c.* Czy my moglibyśmy jeszcze być szczęśliwi? czy byłbym w stanie zapomnieć jej bezlitośnego ze mną postępuku?... *p. c.* Ha, któż wie, jak to było rzeczywiście? może to był szczyt poświęcenia się, heroizmu? a teraz braknie jej odwagi, i na mnie rachuje... ach! ta myśl..

GABRJELA

*wchodząc szybko w zarzutce na białym penioarze, głowa ubrana; podaje mu obie ręce*  
Władysławie! jakże ci wdzięczną jestem że przybyłeś.

WŁADYSŁAW

*p. c. patrząc jej w oczy*

Zrobiłem to, co nakazywała prosta przyzwoitość.

GABRJELA

Pokazałeś serce, o którym już zwątpiłam.

WŁADYSŁAW

*j. w.*

Mówisz szczerze?

GABRJELA

Od tego dnia, w którym zagnana koniecznością zadałam sobie dobrowolnie okropny ból, nie widziałam cię prawie... zamknąłeś się w swoim samolubstwie... tyś mnie chyba nie zrozumiał naówczas.

WŁADYSŁAW

Nie przypominaj mi tej chwili. Kochałem cię i kocham jeszcze. Cios był straszny, ale świadczę się Bogiem, że sam przed sobą tłómaczyłem cię, i chcąc ci ulżyć ciężaru poświęcenia, sądziłem, że nic innego nie pozostawało mi, jak usunąć się zupełnie.

GABRJELA

Władysławie, nie mogłam się zdobyć na tyle odwagi, żeby to uczucie które nas łączyło wystawić na próbę w walkach z powszednimi kłopotami. Idąc za innego, poświęcam się dla rodziców, dla wymagań naszego położenia... ale... jedynych chwil które mnie robiły szczęśliwą nie zapomniałam.. one zawsze są tu przytomne.. wyrwij je, jeżeli potrafisz, ucałuję ci ręce, ale to nie w twojej mocy!

WŁADYSŁAW

*pod wpływem jej spojrzenia*

Gabrjelo!

GABRJELA

Wiesz więc wszystko. Jeżeli z zimną krwią będziesz śledził moje miotania się w tych więzach narzuconych mi wyższem zrzędzeniem, nie znajdując słowa pociechy, jednego spojrzenia, któreby mi czyniło lżejszą tę walkę, dasz dowód..

WŁADYSŁAW

*porywając ją w objęcia*

Więc zerwij te więzy! pójdźmy, nie oglądając się na następstwa.. przy mojem sercu cię otulę, zapomniesz o wszystkim coś przeszła... ale otrząśnij stopy z tego kału, w który cię wepchnięto, uleć z niego aniołem czystym, godnym tego poświęcenia bez granic, jakie ci gotów jestem ślubować.

GABRJELA

*placząc*

Władysławie, jak ty mi utrudniasz drogę i tak już pełną cierni.

WŁADYSŁAW

*po chwili, zimno*

Nie rozumiem cię kuzynko... czegoż więc wymagasz odemnie?

GABRJELA

*j. w.*

Pobłaźliwości! rachowałam na to, że niezapomniesz o nas, że będziesz moją podporą.

WŁADYSŁAW

Lituję się nad tobą, biedna zbłąkana kobieto... o! bo ty tego bardzo potrzebujesz.

GABRJELA

Litości!... *namiętnie* Ja potrzebuję serca, nie litości.

WŁADYSŁAW

*surowo*

Moje jeden raz w życiu zabiło nadzieją, ale to dawno minęło. Twoja własna ręka uciszyła to bicie i dziś ja jestem sobie zwyczajnym człowiekiem oddychającym prozą, za jedyne bóstwo uznającym obowiązki, a owoc zakazany nie przestaje być dla mnie zakazanym, choćby tchnął najponętniejszymi obietnicami. To są rzeczy zanadto poetyczne dla prozaika, zbyt niskie dla człowieka honoru.

GABRJELA

*n. s.*

Boże!

WŁADYSŁAW

Więc zapomnij o tem, co przed chwilą powiedziałem... przepraszam cię za mimowolne uniesienie, była to prosta omyłka serca... źle zrozumiałem twoje słowa.

GABRJELA

*z dumą*

Więc zgrzeszyłeś tłómacząc je w pospiechu fałszywie. Rzuciłeś mi w twarz największą obelgę, jaką kobieta usłyszeć może. *z płaczem* Żegnam cię!

WŁADYSŁAW

Gabrjelo!

## SCENA XI

GABRJELA, WŁADYSŁAW, STRASZ, *wchodzi głębią.*

STRASZ

*w dobrym humorze, nacięty ale się trzyma; we fraku i białym krawacie*

A! moja narzeczona... i kuzynek.. *do* WŁADYSŁAWA Dawno niewidzianego... *do* GABRJELI, *chcąc wziąć jej rękę* a moja pani niech mi pozwoli, jako zadatek należności, która wkrótce ma być spleconą...

GABRJELA

Przepraszam, widzisz pan, żem jeszcze nie ubrana, *n. s. wychodząc na lewo* Jakżem okropnie ukarana.

STRASZ

Bodaj to być kuzynkiem! ma się prerogatywy zaprzeczane temu, który za chwilę będzie legalnym posiadaczem tyłu wdzięków *n. s.* utarłem mu nosa *głośno* cóż pan mówisz na to? jużci pozwól, że mógłbym mieć słuszną pretensję

*Dobywa cygarnicę.*

WŁADYSŁAW

*do siebie*

Kocham ją i aniołem stróżem jej będę.

*Wychodzi na prawo.*

## SCENA XII

STRASZ *później* ZUZIA.

STRASZ

*sam, rzuca się na kanapę*

Niegrzeczny... nawet się nie odezwał i wyszedł sobie bez ceremonji... ale poczekajcie wszyscy! wezmę ja was w takie kluby, że mnie poczujecie. Hołota! świecące pruchno, w mojem własnem mieszkaniu będą mi robić impertynencje!... *po chwili* Znadto pozwoliłem sobie przy tem śniadaniu, ale należało pożegnać kawalerskie życie... no, niby tak koniecznie żegnać, to nie, bo nie głupim się ograniczać... Walerce dam dymisję chyba wtenczas, gdy mi się przeje.. *p. c.* co mnie ta kobieta kosztuje!... ale mi nie żal, bo wszyscy zazdroszczą. Większy kłopot miałem z odmówieniem jej temu jenerałowi, niż z pozyskaniem żony arystokratki... tu sami do mnie leźli. ZUZIA *przechodzi z lewej strony ku prawej, niosąc zawinięte w serwecie Zuziu, chodźno tu...*

ZUZIA

Nie mam czasu.

STRASZ

*tupiąc nogą*

Co to jest: nie mam czasu!... jestem twój pan, rozumiesz... chodź tu zaraz!

ZUZIA  
Niosę bieliznę panom. A co pan chce odemnie?

STRASZ  
Chcę ci popatrzeć w oczy.

ZUZIA  
Można zdaleka.

STRASZ  
Kiedy stąd nie widzę... nawet dotychczas nie wiem, jakie masz: czarne czy niebieskie?

ZUZIA  
*śmiejąc się*  
Bure... *wchodzi* KOTWICZ Ah!  
*Wybiega na prawo.*

### SCENA XIII

STRASZ, KOTWICZ

KOTWICZ  
*n. s*  
Spłoszyłem ich.  
*Zbliża się z miną dyplomatyczną.*

STRASZ  
A! pan hrabia... cóż tam! *p. c. pociągając go na kanapę* Siadaj stary łobuzie.

KOTWICZ  
Cicho!  
*Ogląda się.*

STRASZ  
Mój drogi, nie bądź faryzeuszem.

KOTWICZ  
Ale bo ty czasem jesteś zanadto sobie *sans façons*.

STRASZ  
Eh? *uderza go mocno po udzie* bądź jakim jesteś... czego się to oblekać w baranią skórę... każdy powinien mieć odwagę swoich przekonań... Ty innym jesteś ze mną w cztery oczy, a za innego chcesz uchodzić przy ludziach... Gdy cię karmię i poję u francuza, albo gdy się włóczyliśmy całymi nocami po knajpach, jestem twojem bożyszczem.

KOTWICZ  
Cicho!

STRASZ  
Ha, ha, ha! znałem podobnego świętoszka, który lubił dobrze żyć, a nie miał za co.

KOTWICZ  
Podobno zanadto dziś piłeś.  
*Chce wstać.*

STRASZ  
*przytrzymując go*  
Piłem, ale nie do ciebie, więc nie urażaj się... nie jednemu psu łyżek... Więc tedy, ten... jakże mu tam.. miał swoich amfitrjonów, z którymi całe noce się łajdaczył, był z nimi „per t”... tak jak my... ale strzegł się pokazywać w ich towarzystwie w jasny dzień... tak naprzykład w saskim ogrodzie po sumie. Miał inne znajomości nocne, a inneienne. Słuchajno, czy ty mnie traktujesz jako nocną, pokątną znajomość?

KOTWICZ  
Aleś ty się, widzę, ululał na prawdę.. a to ładnie, w dzień ślubu.

STRASZ

Nie bój się o mnie.. Dajno mi wody.

KOTWICZ

*wstaje i nalewa z karafki*

Muszę ci służyć jak dziecku...

STRASZ

Nieprawda! dziecku byś tak nie służył... bo nicby ci z tego nie przyszło. *pije* cukry i wino przynieśli?

KOTWICZ

Jest wszystko.

STRASZ

Pewnoś znowu rozdał z parę rubli na piwo, bo ty lubisz szastać z cudzego.

KOTWICZ

*wąchając dym z cygara, które pali* STRASZ

Jakieś dobre cygaro... nie masz tam jeszcze z jednego?

STRASZ

*dając mu cygarnicę*

Na, masz... czerp... weź sobie z parę do kieszeni, znaj pana.

KOTWICZ

Gdzieżeście tak bomblowali?

STRASZ

Wyprawiałem śniadanie tym wyżeraczom.. na pożegnanie stanu kawalerskiego.

KOTWICZ

Ale fe! *śmiejąc się* Na pożegnanie! *p. c.* kobiety były?

STRASZ

Jak myślisz?

KOTWICZ

Walerka? *uderzając go* Hultaj! *po chwili* Ale słuchajno, z tym szambelanicem trzeba być jakoś...

STRASZ

Co, trzeba?

KOTWICZ

Bój się Boga on goły jak święty turecki... daj mu co odczepnego.

STRASZ

Mój kochany, złapaliście mnie i doicie już do ostatniego. Czy myślisz, że tak ciągle będę na to pozwalał?

KOTWICZ

O! znowu nie fanfaronuj!

STRASZ

Co? nie złapaliście mnie?

KOTWICZ

Dajno pokój tak między nami mówiąc, zyskujesz pozycję, wchodzisz w koligacje.

STRASZ

Tego towaru za miły grosz zawsze dostanie.

KOTWICZ

Ale piękność okrzyczana... wszyscy ci zazdroszczą, możesz się pysznić.

STRASZ

Koczkodana bym nie wziął. Za swoje pieniądze powinienem zaimponować. Płacę! do milion djabłów gotówką, i tandety nie chcę.

KOTWICZ

No, no, no! tylko się nie gorączkuj.

STRASZ

To nie błądź.

KOTWICZ

Zapominasz się.

STRASZ

Jeżeli ci się zdaje że jestem pijany, to się grubo mylisz... jestem przy zdrowych zmysłach, zdrowszych niż wy wszyscy. Możecie mnie naciągać, ale tylko do pewnego stopnia.. to sobie powiedziałem, bo golizny się boję jak zarazy. Przychodzi mi to na myśl ile razy patrzę na was... ty na przykład, wyrzucałeś pełnymi garściami, a dziś w łapę byś mnie pocałował za kilka rubli.

KOTWICZ

Widzę, że z tobą dziś nie ma co gadać.

*Wstaje.*

STRASZ

*przytrzymując go*

Siedź!... jak się będziesz dąsał, to nic nie wskórasz. Stary zostawił mi tyle, że mogę sobie dużo pozwolić, ale żeby mi wszystko puścić, to nie głupim,.. gołego za psa nie mają... p. c. Jakem był dependentem u adwokata...

KOTWICZ

*n. s.*

Teraz się wygada... *głośno* Dependentem, ty?

STRASZ

Nie wiedziałeś? Stary kazał mi praktykować, ale na utrzymanie nic nie dawał, obiecując gruszki na wierzbie... nałamałem sobie nieraz głowy, z kądem wykręcić na ogródki i baliki... ale to mnie nauczyło wartości pieniędzy.

KOTWICZ

Coż to za stary? papka?

STRASZ

Gdzie tam papka.. wujaszek... papki nigdy nie znałem... *innym tonem* miałem tylko matkę... to była męczennica.

KOTWICZ

Al więc ty jesteś wychowany przez mamę... pieszczoszek, gagatek... teraz się nie dziwię niczemu.

STRASZ

*ponuro; wstając*

Gagatek! prawda, byłem gagatkiem, kochała mnie... a ja... ja bo trzeba ci wiedzieć nikogo nie kocham i w nic nie wierzę, ale to w nic co się nazywa, prócz pieniędzy... ale ją kochałem... to jest teraz tak mi się zdaje, bo dopóki żyła, zatruwałem jej życie. Jak zapamiętam siedziała po całych dniach i nocach przy maszynie... szła i płakała... pracowała na mnie, bo ja ostatni grosz jej wyciągałem na hulanki... dopiero gdy umarła, zrobiło mi się jakos głupio na sercu... napadła mnie jakaś nienawiść do ludzi, którzy się nad nią znęcali, szalona chęć odwetu...

*Chodzi.*

KOTWICZ

Alboż ten wuj nie przychodził wam wcale w pomoc?

STRASZ

Co, wuj! brudny sknera, dbał o nas tyle co pies o piątą nogę.

KOTWICZ

Przecież dał dowód pamięci, zapisując ci taki ładny majątek.

STRASZ

Ha, ha... zapisując! ani mu się śniło, tylko kipnął nagle i mnie się dostało, jako jedy-  
nemu krewnemu... Szkoda tylko, że matka tego nie doczekała... byłbym miał satysfakcję  
patrzeć, jakby jej się nisko kłaniali ci wszyscy, którzy najbardziej zalewali sadła za skórę...  
tak jak mnie.. dawniej potracali jak psa, dziś kochają... ha, ha, ha... *biorąc KOTWICZA w ob-  
jęcia* kochasz mnie? *ściska go gwałtownie* bardzo? póki funduję? co? *odpycha go* pieniądze to  
dobra rzecz... przepraszam cię, ale kto go trwoni, ten osioł.

KOTWICZ

*n. s.*

Pijany, jak bela... *głośno* Więc kiedy masz, to nie bądźże egoistą... z szambelanicem...

STRASZ

Czegóż on chce? dajcież mi raz pokój. Czarnoskała już moja, ponabywałem długi,  
których było tyle, że mu się nie wiele należy.

KOTWICZ

No, widzisz, nie wiele, ale zawsze coś... powinno ci też chodzić o to, żeby ludzie nie  
gadali żeś z niego korzystał. Ja wiem żeś ty na tem zarobił. Później się tam będziecie  
rachować po familijnemu, a tymczasem daj mu co.. zamkniesz mu usta.

STRASZ

Ileż on chce?

KOTWICZ

Ja ci powiem: daj mu kredyt na jakie parę tysięcy, i będziesz miał spokojną głowę.

STRASZ

*dobywa z pugilaresu weksel, idzie do biurka i pisze; n. s.*

Ostatni raz to robię, ale po ślubie...

KOTWICZ

*zaglądając przez ramię*

Tysiąc rubli... cóż to znaczy...

STRASZ

Więcej ani grosza... *daje mu weksel* Masz, i nie nudźcie mnie. KOTWICZ *się ociąga*  
a przedewszystkiem pozwólcie mi się przedrzemnąć choć chwilę, bo będzie skandal, jak  
chrapnę przy ołtarzu.

KOTWICZ

Ale nie zaspijże, bo to już nie długo

*Wychodzi na prawo.*

## SCENA XIV

STRASZ, MICHAŁEK *później* ZUZIA.

STRASZ

*rozwiązując krawat, do MICHAŁKA, który wszedł przed chwilą*  
Miszel!

MICHAŁEK

Słucham jaśnie pana.

STRASZ

Daj mi wody. Co tam robią?



MICHAŁEK

Gdzie?

STRASZ

*wskazując na lewo*

Tam! panie...

MICHAŁEK

*podając wodę*

Ubierają się... nie wpuszczają nikogo.

STRASZ

To dobrze, zamknijże drzwi na klucz MICHAŁEK *odniosłszy szklankę zamyka drzwi* tamte do panów także. MICHAŁEK *zamyka na prawo* gdyby mieli do siebie interes, to są drugie wyjścia na korytarz *p. c.* i sam się wynoś, bo ja się muszę przespać. Ale pilnuj mi przy drzwiach i zwracaj każdego, coby chciał wejść.

MICHAŁEK

*całując go w rękę*

Miałem jeszcze mały interes do jaśnie pana.

STRASZ

Teraz! czyś zgłupiał... później.

MICHAŁEK

Kiedy później pan będzie czym innym zajęty, a tymczasem Zuzia spokojności mi nie daje.

STRASZ

A! Zuzia? cóż Zuzia?

MICHAŁEK

Zobaczyła w magazynie jakiś kaftanik i zachciało jej się go koniecznie na dzisiejszy fest... chce się w nim pokazać przy gościach.

STRASZ

Więc co?

MICHAŁEK

Chciałem prosić jaśnie pana o kilka rubli.

STRASZ

Co parę dni jej coś sprawiasz, nie przyzwyczajaj ją do tego, bo sobie potem nie dasz rady.

MICHAŁEK

To jaśnie pan ją tak popsuł... teraz dufa w jaśnie pana, i jak się czego naprze, tak nie ma gadania.

STRASZ

No, no, mniejsza o to.. masz! a kupże jej coś ładnego.

MICHAŁEK

*n. s.*

Będzie widziała! *głośno* Nie trzeba jaśnie panu nic więcej?

STRASZ

Nie trzeba *p. c.* *na pół drzemiąc* jak będą gotowi, to przyjdź tu... MICHAŁEK *wychodzi głębią; sam na wszystkie strony się oplacać...* ale przynajmniej człowiek pan! robi co mu się podoba... ah! te pieniądze... bez nich, co jabym znaczył *pukanie na prawo* Jest! nie pozwolą mi zasnąć.

ZUZIA

*za sceną*

Któż znowu te drzwi zamknął.

STRASZ

Zuzia, daję słowo!

*Biegnie, i otwiera, ZUZIA wchodzi.*

MICHAŁEK

*wraca głębią*

A ty tu po co? nie mogłaś przyjść przez korytarz? jaśnie pan chce się przespać.

ZUZIA

Nie wiedziałam.

MICHAŁEK

Chodź.

*Wyprowadza ją zamyka drzwi za sobą.*

STRASZ

Bodajes djabła zjadł...

*Kładzie się na kanapie. Zastona spada.*

# AKT IV

*Dekoracja aktu drugiego.*

## SCENA I

SZAMBELANIC *w zszarzanym szlafroku, chodzi mierzonymi krokami.* SZAMBELANICOWA *siedzi na kanapie, dłoń na czole obowiązanem chustką; przy końcu sceny, ŁECHCIŃSKA*

SZAMBELANICOWA

*po chwili milczenia*

A już też sobie postąpił bez żadnej rozwagi... jestem bardzo ciekawa, co teraz będzie!

SZAMBELANIC

Ale nie żałuj, proszę cię. Lepiej że to się stało teraz, aniżeli gdyby później, już po czasie, były z tego... jakie..

SZAMBELANICOWA

Zapomniałaś o naszej sytuacji.

SZAMBELANIC

Nie miałem czasu zastanawiać się, zanadto byłem oburzony. Przyjeżdżać na swój własny ślub pijanym jak bydlę! prosto z knajpy, gdzie afiszował się z jakimiś flondrami... cóż to znowu! takie lekceważenie naszego domu!

SZAMBELANICOWA

Można było zwrócić na to uwagę w inny jakiś, delikatniejszy sposób.. byłby się zre-flektował.

SZAMBELANIC

Nie mogłem, powiadam ci! Wszystko ma swoje granice... co on sobie rozumiał błazen jakiś! za honor którego dostępował łącząc się z naszą córką?

SZAMBELANICOWA

Co do tego, masz rację. Ale zapytam się, czy pora bawić się w zbyteczną drażliwość, gdy nam grozi ruina i gdy może przyjść chwila, że staniemy się celem ludzkich urąganiań.

SZAMBELANIC

Celem urągania! my, Czarnoskalscy!

SZAMBELANICOWA

Jesteśmy sami, nikt nas nie słyszy, więc nie potrzebujemy fanfaronować. Jakież masz przed sobą widoki?

SZAMBELANIC

No, najprzód, Maurycy się żeni.

SZAMBELANICOWA

Przyznam ci się, że bardzo mało spodziewam się z tego korzyści... zupełnie co innego, gdyby Gabrjela poszła za Strazę: nie potrzebowalibyśmy się ztąd ruszać, bylibyśmy u siebie, bo chociaż ponabywał twoje długi, pozostawiłby je na Czarnoskale, nie tradowałby przecie rodziców żony.

SZAMBELANIC

To wszystko prawda, ale są pewne względy, których bezkarnie naruszać nie wolno p. c Dla tego bardzo mi się to nie podobało, że Kotwicz pozostał z nim w Warszawie... zwłaszcza jeżeli to zrobił za waszym wpływem, co mogę przypuszczać.

SZAMBELANICOWA

Może nam być przydatnym, nawet rachuję na to, i powiem otwarcie, że jeżeli na twoje żądanie odesłałam Straszowi wszystko co ofiarował Gabrjeli jako prezenta przedślubne, to tylko w tej nadziei, że to z trjumpfem powróci do nas.

SZAMBELANIC

Nie przyjmę, chyba się ukorzy i jawnem przeproszeniem da mi zadosyć uczynienie. Potrzebuję rękojmi jego dobrej wiary.

SZAMBELANICOWA

A ja nie uspokoję się, póki się ten stosunek nie naprawi *bolejąca* nie wyobrazisz sobie, co się ze mną dzieje od czasu tego twojego skandalu... coraz ze mną gorzej... nerwy mam tak rozstrojone, że co chwila drzę i czegoś się obawiam, jak gdyby coś okropnego wisiało nad nami... Zdaje mi się, że nie jestem już u siebie, że nas ztąd wyrzucą, że lada chwila piorun w nas uderzy!

SZAMBELANIC

*siadając przy niej*

Ale moja droga, tylko sobie nie przypuszczaj do głowy takich rzeczy... są tysiączne środki.. n. s. jak ja się boję tych jej nerwów...

SZAMBELANICOWA

Miej też wzgląd na mój stan!

*Gorączkowym ruchem porywa jego rękę i całuje.*

SZAMBELANIC

Zrobię co się da, bez ujmy moim zasadom... i bez narażenia przyszłego losu naszej córki.

SZAMBELANICOWA

Napraw to jakimkolwiek sposobem!... coś zaturkotało... ah! to woźny! woźny albo komornik!... przezuwam, jestem pewną!... weź mnie ztąd... ah! ja nie przyjdę do siebie póki będę miała powody do niepokoju.

SZAMBELANIC

*n. s.*

Dobryś!... *głośno* Hej, jest tam kto... Łechcińska!... ŁECHCIŃSKA *wchodzi z lewej strony* proszę odprowadzić panią... *idzie do okna* Kotwicz! pewno z jaką misją... nie gadam z nim *Odbodzi na prawo.*

SZAMBELANICOWA

Ah! ah!... *z ręką na sercu* tu!... tu!... *do ŁECHCIŃSKIEJ po odejściu męża innym tonem* Zobacz kto to przyjechał.

ŁECHCIŃSKA

*spojrzawszy w okno*

Hrabia!

SZAMBELANICOWA

Przyprowadź go do mnie

*odchodzi na lewo*

## SCENA II

ŁECHCIŃSKA *p. c.* KOTWICZ.

ŁECHCIŃSKA

*sama*

Hrabia! ah, jakażem ciekawa.. może się jeszcze wszystko naprawi, bo to przecie sensu nie ma, jak matkę kocham... żeby też mieć tak mało oleju w głowie i samochąc zniechęcać takiego milionera, to nie do uwierzenia! Staremu to już klepki w głowie się porujnowały, słowo daję... czego to dąć, kiedy nie ma w co.. nie wiem gdzie znajdą lepszą partję... *do KOTWICZA, który wchodzi* No? no? no?

KOTWICZ

Co? co? co?... no, nic... przyjechałem.

ŁECHCIŃSKA

Od Strasza? z Zagrajewic?

KOTWICZ

Nie, z księżycyca.

ŁECHCIŃSKA

No i cóż? będzie z tego co?

KOTWICZ

E!

ŁECHCIŃSKA

No?

KOTWICZ

Pojedynek!

ŁECHCIŃSKA

Jezus!

KOTWICZ

Dwa pojedyunki.

ŁECHCIŃSKA

Rany boskie!

KOTWICZ

Czy tu jest Maurycy?

ŁECHCIŃSKA

Zkądże? wszak został w Warszawie z Dzieńdzierzyńskimi.

KOTWICZ

Przecie wiem o tem... ale spodziewałem się, że już tu jest.

ŁECHCIŃSKA

Czy to on ma się strzelać?

KOTWICZ

A Władysława tu nie było?

ŁECHCIŃSKA

I on?

KOTWICZ

Obadwaj, a ja jestem sekundantem ze strony Strasza.

ŁECHCIŃSKA

Jakże to było? bójcie się Boga!

KOTWICZ

Jak? głupio, bez sensu, i trzeba było mu się dać wyspać... kwita..

ŁECHCIŃSKA

Ja też to zaraz powiedziałam.

KOTWICZ

*siada na kanapie. ŁECHCIŃSKA przy nim poufale, on się zrywa*

Wystaw pani sobie, jak mu stary zrobił tę scenę, chłopcu naturalnie było przykro.

ŁECHCIŃSKA

Co mu się dziwić.

KOTWICZ

I powiedział tam coś... jak to w żalu.

ŁECHCIŃSKA

Komu?

KOTWICZ

Swoim... no!... juźci trochę zanadto, że go łapali, to owo, że sobie z nich nic nie robi, że tej łaski dostanie wszędzie za swoje pieniądze... etcetera... dosyć że się to rozeszło.

ŁECHCIŃSKA

Aha!

KOTWICZ

Maurycy jak to posłyszał, posłał mu zaraz sekundanta.

ŁECHCIŃSKA

*z wybuchem*

Warjat!

KOTWICZ

Przepraszam, to znowu co innego... przyznaję, że nie trzeba było doprowadzać do tej ostateczności, ale jak się już stało, Maurycy nie mógł postąpić inaczej.

ŁECHCIŃSKA

Więc cóż będzie?

KOTWICZ

Ano pukania, i to niemała, bo i Władysław ze swojej strony, tak, że jeden o drugim nie wiedział, podobnie go wyzwiał.

ŁECHCIŃSKA

*oburzona*

A ten znowu czego się wtrąca?... no, patrzcież państwo, to już teraz z tem wszystkim kaput! a stara tak jest pewną, że się to jeszcze da naprawić... Jezus! co się to z niemi teraz zrobi... ja już tego wszystkiego mam póty! dosyć się nawysługiwałam i głodu namarłam... trzeba o sobie pomyśleć!... Ale że to hrabia się w to wplątał... sekundować! w imię ojca i syna...

KOTWICZ

Widzi pani Łechcińska to była dyplomacja, umyślnie to zrobiłem... byłem pewny że zdołam doprowadzić do porozumienia.. tymczasem nadspodziewanie napotkałem u Strazsa taki upor barani, tyle determinacji, że wszystkie moje projekta w łeb wzięły.

ŁECHCIŃSKA

To tak, rozdrażniać kogo... Niewiadomo jaki djabeł w kim siedzi.

KOTWICZ

Przynajmniej tyle zrobiłem, że pojedynek ma się odbyć tu w pobliżu, w lesie, na granicy Zagrajewic.

ŁECHCIŃSKA

I cóż z tego?

KOTWICZ

Możnaby spróbować jeszcze jednego środka... Gdyby pani Łechcińska szepnęła o tem tak coś od siebie kobietom.. wy czasem miewacie pomysły... możeby się dało urządzić jakąś dywersję, sprowadzić scenę rozczulającą, któraby naprawiła dobre stosunki.

ŁECHCIŃSKA

Jak matkę kocham, dobry concept... a hrabia sam nie pójdzie do pani?

KOTWICZ

Nie wypada mi.

ŁECHCIŃSKA

I kiedyż się to ma odbyć?

KOTWICZ

Zaraz... *patrząc na zegarek* za godzinkę.

ŁECHCIŃSKA

Jezus! i nie było to wcześniej powiedzieć.

KOTWICZ

Niedawnośmy przyjechali, ledwo się mogłem wymknąć cichaczem... *znowu patrzy na zegarek* muszę jeszcze wrócić po niego... umyślnie będę zwlekał.

ŁECHCIŃSKA

Lecę, biegnę... *ogłędając zegarek* Ale do jakiego hrabia zegarka przyszedł, fiu, fiu!

KOTWICZ

Spieszże się pani.

ŁECHCIŃSKA

Ktoś zajechał *idzie do okna* A! to Dzieńdzierzynski z córką... także już wrócili z Warszawy... to dobrze, będzie sukces... Jezus! jak się panna Paulina dowie!

*Wychodzi na lewo.*

### SCENA III

KOTWICZ *p.c.* DZIĘNDZIERZYŃSKI, POLA.

KOTWICZ

Wlazłem w kabałę, djabli wiedzą po co... potrzeba mi to było?... ale któż mógł przewidzieć, że będzie taki twardy. Może Dzieńdzierzynski na to poradzi, jak mu córka zacznie robić sceny... najpewniej na niego rachuję.

DZIĘNDZIERZYŃSKI

*wchodząc, zdejmując z POLI okrycie; wesóło*

Niechże pani hrabina pozwoli usłużyć sobie.

POLA

*podobnież*

Niechże papka ze mnie nie żartuje.

DZIĘNDZIERZYŃSKI

No, to pani szambelanowa.

POLA

I do tego tytułu nie mam prawa.

DZIĘNDZIERZYŃSKI

To trudno, ja cię muszę koniecznie tytułować... będziesz wkrótce Czarnoskalską, tak jakbyś już nią była, a przecie Czarnoskalscy... *spozstrzega KOTWICZA* a! pan hrabia... witamy... powiedz mi, cóż tu słychać?

KOTWICZ

Nie widziałem się z nikim.

DZIĘNDZIERZYŃSKI

*Comment?*

KOTWICZ

Przyjeżdżam prosto z Zagrajewic.

DZIĘNDZIERZYŃSKI

*krzywiąc się*

Z Zagrajewic? cóż wy tam macie jeszcze z Zagrajewicami? spodziewałem się, że już skończone z tym Straszem... *zanadto się zblamował... il s'est trop blamangé.*

KOTWICZ

Są jeszcze pewne stosunki.

DZIĘNDZIERZYŃSKI

Jakie? pieniądze? *do POLI, która poprawia włosy w zwierciadle* Idźże do szambelanównej, proszę cię... ona może słaba POLA *wychodzi; do KOTWICZA* piętężnych stosunków

żadnych z nim już nie mają, ponabywałem wszystkie te sumy pod cudzym nazwiskiem z *dumą* wykupiłem Czarnoskałę dla mojego zięcia... tylko cicho! sza! niech nikt o tem nie wie, przyjdzie czas. Tymczasem co innego hrabiemu powiem: musiałem mu pozwolić na jeden wybryk, bo to ci wielcy panowie mają zawsze swoje chimery. Wystaw sobie hrabia, mojemu zięciowi zachciało się bawić w kupca.

KOTWICZ

Ale fe!

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Zupełnie jak nieboszczykowi memu dziadkowi. Co ja z nim przeszedłem to na wołowej skórze by nie spisał, ale nareszcie ułożyło się jakoś. Zakładamy dom komisowy rolników z trzech powiatów... będzie wilk syty i owca cała; chociaż się będzie handlować tem i owem, to jakoś zachowa się *decorum*. To teraz w modzie... najpierwsze nazwiska dają na takie rzeczy firmę, co innego zwyczajny sklep. Uważa hrabia, jak to będzie dobrze brzmić: Czarnoskalski, Dzieńdzierzyński i spółka... spółka, to się znaczy akcjonariusze... obywatelstwo trzech powiatów... będzie solidarność... Tylko ja miałem ochotę żeby było: hrabia Czarnoskalski, ale się uparł i nie chciał. Powiedz mi hrabia, dla czego oni się nie tytułują tak samo, jak wy?

KOTWICZ

Dla tego, że nie mają tego prawa co ja

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ale to być nie może, *c'est impossible!* po jakimuż to... ja muszę tego koniecznie dojść: nie ma najmniejszego sensu, żeby ludzie już nie mówię jednego nazwiska, ale z tej samej familji tak się różnili.

KOTWICZ

Czy z Maurycym rzeczy już ułożone?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Comment?*

KOTWICZ

No, niby z panną Pauliną.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Możemy sobie już mówić: kuzynie.

*Całuje go.*

KOTWICZ

Bardzoby mi było przyjemnie, ale... jeszcze, kto wie? czy pańska córka go kocha?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Co za pytanie, *naturellement* że go kocha... i jak! oboje się kochają.

KOTWICZ

Tem gorzej *tajemniczo* gdyby do pana coś doszło przypadkiem o nim, zachowajcież to przy sobie.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Comment?*

KOTWICZ

W sekrecie przed panną Pauliną.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Nie rozumiem kuzyna.

KOTWICZ

Maurycy ma dziś pojedynek.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*przerażony*



*Com... comment? pada na kanapę* W oczach mi pociemniało... po pojedynku... dziś?...  
*p. c. słabym głosem* Z kim?

KOTWICZ  
Ze Straszem.

DZIEŃDZIERZYŃSKI  
E!

KOTWICZ  
Co? e!

DZIEŃDZIERZYŃSKI  
Kpiny. Z nim?  
*Wstaje.*

KOTWICZ  
Z nim.

DZIEŃDZIERZYŃSKI  
Onby się miał pojedynkować? jakiś dependent, który miał do czynienia tylko z piórkim i z knajpą?

KOTWICZ  
Ja sam nie spodziewałem się spotkać w nim tyle odwagi i zimnej krwi... pokazało się, że jest gotów na wszystko.

DZIEŃDZIERZYŃSKI  
Ale o cóż im poszło?

KOTWICZ  
Jakto, pan nie wiesz?

DZIEŃDZIERZYŃSKI  
Wiem, że mu pokazano drzwi, i bardzo dobrze zrobiono... nie może mieć o to pretensji.

KOTWICZ  
Innego był zdania; mszcząc się zbeczczył rodziców niedoszłej żony i Maurycy go wyzwiał.

DZIEŃDZIERZYŃSKI  
Maurycy! co za szaleństwo, jemu nie wolno się narażać... mógłby zginąć.

KOTWICZ  
Nic niepodobnego. Jako wyzwany Strasz ma pierwszy strzał, a strzela podobno arte; odgrażał się z fanfaronadą, że trupem położy napastnika.

DZIEŃDZIERZYŃSKI  
Trupem! *lamiąc ręce* kuzynie!

KOTWICZ  
Kto wie, czy niezawczasie jeszcze ten tytuł, panie Dzieńdzierzyński.

DZIEŃDZIERZYŃSKI  
Na Boga! żeby przypadkiem Pola o tem się nie dowiedziała.

KOTWICZ  
To panu nie wskrzesi zięcia, jeżeliby zginął.

DZIEŃDZIERZYŃSKI  
*Vous avez raison!... chodzi;* *p. c* Trzeba koniecznie znaleźć na to jaki sposób... Kiedyż ma być to spotkanie?

KOTWICZ  
*patrząc na zegarek*  
Fe, jak to czas leci... Do widzenia, nie chciałbym się spóźnić.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Dokądże?

KOTWICZ

Na plac.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Po co?

KOTWICZ

Jestem sekundantem Strasza.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Comment?* hrabia jego sekundantem?

KOTWICZ

Nie mogłem mu odmówić... nie miał nikogo. Zresztą, lepiej, że się to odbędzie pomiędzy nami... potrzebną jest tajemnica.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

I gdzież to ma być?

KOTWICZ

Na granicy Czarnoskały i Zagrajewic... w lesie... na Pustkowiui.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Tam, gdzie niedawno znaleźli wisielca?... wiem, słyszałem, ma być bardzo dzikie ustronie... cóż za miejsce obrali.

KOTWICZ

Chciałeś pan żeby się strzelali na dziedzińcu? i tak jest ryzyko... wszystko przygotowane do natychmiastowego wyjazdu za granicę w razie nieszczęścia... *odchodząc* Proś pan Boga, żeby do tego nie przyszło... ale nie powiem żebym miał dobre przeczucie

*Odchodzi głębią.*

## SCENA IV

DZIEŃDZIERZYŃSKI, *potem* POLA.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Jeżeli on ma złe przeczucie, cóż dopiero ja!... co zrobić!... *chodzi prędkimi krokami* gdyby moje usposobienie na to pozwalało, samby tam pojechał i rozbroił tych szaleńców... przymusił, żeby sobie dali pokój.. Nawet gotowem to zrobić... ale nuż nie zechcą mnie słuchać, dostałbym się pomiędzy pistolety, musiałbym być poniewolnym świadkiem spotkania... dziękuję za to. *chodzi j. w., po chwili* Gdyby tak było bliżej do miasta, poleciałbym do powiatu, i wziął ztamąd strażnika ziemskiego, na takich półgłówków nie ma innej rady. Ale gdzież! nim tam zajadę, to już będzie po wszystkim *patrzy machinalnie na zegarek: nagle* Ale! mam, *bon!* wszakże tu jest gmina, wójt... lecę do niego o pomoc... niech będzie co chce, powiązać ich jak baranów... *szuka kapelusza.*

POLA

*wchodząc prędko z lewej strony, splakana*

Papko?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Czego chcesz? nie mam czasu... dla czego odchodzisz od szambelanównej?

POLA

*z płaczem*

On się ma strzelać!

DZIEŃDZIERZYŃSKI

A! wiesz już o tem? nie bój się, właśnie idę po wójta.

POLA

Po wójta? a to po co?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*Savez vous quoi, c'est bon!* po co? mam pozwolić żeby się działy takie bezprawia? puść mnie, bo będzie za późno, mogę go nie zastać.

POLA

Papka chyba żartuje.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Dajże mi pokój, wiem co robię.

POLA

Ależ to niepodobna! papka się nie zastanowił.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ona chce, żebym ja się teraz zastanawiał! ty wiesz, że ja nie jestem masło maślane, co pomyślę, to robię w powietrzu.. tu tylko energia może wszystko uratować.

POLA

I ja tak samo sądzę, ale niech papka jedzie sam.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Sam? a cóż ja tam sam poradzę?

POLA

Jak papka z energją zaprotestuje przeciwko tak nieludzkiemu załatwieniu zajścia; wszakże pojedynek jest przesądem, pozostałością barbarzyńskich czasów.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Bardzo to pięknie, ale prawdopodobnie nie będą sobie nic robić z mojego gadania. Ludzie stający do pojedynku, to są tygrysy, wściekle zwierzęta.

POLA

O! papa dobiedziesz z z głębi twojego serca siłą przekonywającą.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Na co się to zda... ja wolę jechać z wójtem.

POLA

Na to nigdy nie pozwolę.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Sam nie pojedę.

POLA

Jeżeli papka nie pojedzie, ja to przechoruję; dostałam takiego bicia serca na tę wiadomość.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*płacząco*

Polu!

POLA

Ah! niech papka się spieszy! prędzej!... na samą myśl, że tam może on już stoi pod wymierzoną ku sobie lufą pistoletu...

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*n. s.*

I ja mam na to patrzeć! *głośno* Ale nie imaginuj sobie...

POLA

Jakże nie imaginować, alboż to żarty?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*do siebie, zafrasowany*

Co ja pocznę!

POLA

Ja wiem, że papka na to poradzi; nie tłómaczę sobie w tej chwili, jak? ale wierzę, że będzie dobrze... sama ta myśl mnie uspokaja, zdaje mi się, że przy papce nic mu się złego nie stanie.

## SCENA V

*Poprzedzający, SZAMBELANIC.*

SZAMBELANIC

*wchodząc z prawej strony, ubrany*

A to co? dokądże sąsiad?... ledwo przyjechałeś, jeszcześmy się nie przywitali, i już odjeżdżasz?

POLA

*żywo do ucha ojcu*

Cicho! on pewno o niczem nie wie.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*podobnie*

To możeby mu powiedzieć, pojechalibyśmy we dwóch.

POLA

*j. w.*

Nie można! przecie to o syna chodzi, po co go niepokoić.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*do szambelanica*

Z jedynaczkami nie ma rady... kazała, i ojciec musi słuchać. Jadę... do domu.

SZAMBELANIC

Po co?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

O, nie ma co gadać *p. c. tajemniczo* Zapomniała chustki do nosa.

SZAMBELANIC

Ha, ha, ha!

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ale za godzinkę będę.. do widzenia *n. s.* jadę jak na ścięcie.

SZAMBELANIC

Proszę dotrzymać słowa, mamy tysiące rzeczy z sobą do mówienia.

## SCENA VI

POLA, SZAMBELANIC.

SZAMBELANIC

Cóż to za tajemnicę papka upozorował ową chusteczką?

POLA

*pomieszana*

Sama nie wiem.

SZAMBELANIC

A co znaczyła apostrofa do jedynaczek? widocznie musiało mieć miejsce jakieś nadużycie posiadanej władzy. *biorąc jej rękę i pieszcząc się z nią* Pieszczotka, tyranek domowy... *n. s.* jaką ona ma rasową rączkę *głośno* czy to tak i z mężem będzie?... co?... ale! a cóż się robi z Maurycym? może także został użyty do podobnie ważnej misji?

POLA

*j. w.*

Nie wiem... sądziłam, że p. Maurycego już tu zastaniemy.

SZAMBELANIC

Nie widzieliśmy go od czasu wyjazdu z Warszawy... miał z państwem przyjechać *p. c.* cóż to, łezki w oczach? *p. c.* może był nieposłusznym... POLA *wybucho płaczem; zdziwiony* O!... *n. s.* Cóż to znaczy? *p. c.* *głośno* Panno Paulino, czy mogę wiedzieć przyczynę tych łez?

POLA

*powściągając płacz*

Ale nic... żadna przyczyna.. tak mi nie wiedzieć z kąd przyszło... miewam często takie napady.

SZAMBELANIC

A! nerwy... *n. s.* A to winszuję mu przyjemności w pożyciu... sprzedz je obie razem z moją żoną... *głośno* Proszę się uspokoić, zaprowadzę pannę Paulinę do Gabrjeli.

POLA

O! niech się pan nie fatyguje, pójdę sama

*Odbodzi na lewo; we drzwiach spotyka się z ŁECHCIŃSKĄ.*

SZAMBELANIC

*do ŁECHCIŃSKIEJ*

Panna Paulina słaba.

*Na jego znak ŁECHCIŃSKA odprowadza POŁĘ.*

## SCENA VII

SZAMBELANIC *p. c.* ŁECHCIŃSKA.

SZAMBELANIC

*sam*

Poswarzyli się widocznie... one wszystkie jednakowe. No, koniec końców był duet, teraz przybywa trzeci głos, będzie tercet... uciekać z domu, słowo uczciwości.

ŁECHCIŃSKA

*wracając*

Pan nic nie wie co się dzieje?

SZAMBELANIC

Spazmy i beki, gdzie się obrócić.

ŁECHCIŃSKA

Ale o pojedynku? nic?

SZAMBELANIC

O jakim pojedynku?

ŁECHCIŃSKA

Pana Maurycyego.

SZAMBELANIC

*żywo*

Z kim?

ŁECHCIŃSKA

Z przysłym szwagrem, panem Straszem.

SZAMBELANIC

Z jakim przysłym szwagrem? niedoszłym chyba. Proszę! więc się obraził, nie przypuszczałem u niego tyle ambicji.

ŁECHCIŃSKA

Ale kiedy to pan Maurycy go wyzwał.

SZAMBELANIC

A! skoro pan Maurycy, to co innego... musiał mieć powód, chociaż za wiele mu zrobił honoru *do siebie* to ona pewno tego płakała biedaczka... a ją ją posądziłem o kaprys.

ŁECHCIŃSKA

Pan mówi o tem, jakby o czem najzwyczajniejszym... Jezus!... *p. c.* przecie temu trzeba koniecznie zapobiedz.

SZAMBELANIC

*ironicznie*

Nie może być! takeście uradziły?

ŁECHCIŃSKA

Pani i tak już cierpiąca, gdy się o tem dowiedziała, dostała spazmów... Pan nie był przy tem.. okropny atak!

SZAMBELANIC

O! wierzę ci na słowo. Ale zkądże ta wiadomość *patrzac na nią* czy też to ktoś przypadkiem plotki nie skomponował...

ŁECHCIŃSKA

O! już wiem, co pan ma na myśli, nie trzeba mi mówić.. Łechcińska, wszystko Łechcińska... tymczasem Łechcińska nic na wiatr nie mówi... *tajemniczo* sama się widziałam i rozmawiałam z sekundantem tamtego.

SZAMBELANIC

A to gdzie?

ŁECHCIŃSKA

Tu... w tem samem miejscu.

SZAMBELANIC

*zdziwiony*

Był tu?... i cóż to za figura?

ŁECHCIŃSKA

Nasz hrabia!

SZAMBELANIC

Kotwicz? ha, ha, ha! sekundantem Strasza? niepodobna?

ŁECHCIŃSKA

Niech się pan śmieje, tak, tak, a oni się tam może teraz w najlepsze zarzynają. Gdyby czego Boże broń przyszło do jakiego nieszczęścia, pani się rozchoruje na dobre.

SZAMBELANIC

Ale moja Łechcińska wyperswaduj sobie, że na to nie ma sposobu; chyba bym sam stanął w miejscu Maurycego.

ŁECHCIŃSKA

Ale kiedy to już nie o to chodzi.. chociażby nawet mieli sobie nic nie zrobić, pan powinien nie dopuścić do pojedynku, bo inaczej nie zreperuje się to, co się popsulo... Pan tej bagateli nie chce zrobić dla pani?

SZAMBELANIC

*zniecierpliwiony*

Dajże mi pokój, proszę cię! co się tobie w to mieszać.

ŁECHCIŃSKA

*urazona*

Tak! więc już Łechcińskiej nic do tego... ha, niechże i tak będzie... to za moje szczere serce które miałam zawsze dla państwa... tylko pan mi nie weźmie za złe, że poproszę o obrachunek z tych dziesięciu lat, a za jedną drogą o oddanie tego kapitaliku, który panu pożyczyłam.

SZAMBELANIC

A tobie co po pieniądzech?

ŁECHCIŃSKA

Potrzeba mi.

SZAMBELANIC

Teraz! gdy podobno wygrywasz proces z sukcesorami referendarza? byłem pewny, że mi dasz jeszcze i to.

ŁECHCIŃSKA

Chybabym też rozumu nie miała!

SZAMBELANIC

U mnie byłoby im bezpieczniej, niż w twojej własnej kieszeni.

ŁECHCIŃSKA

Pan ze mną komedjasy wyprawia, słowo daję... Zapewne że nie kłopotałabym się, gdyby pan był nie zrobił pani na złość i pana Strasza tak nie zmaltretował.. byłby i kredyt i wszystko... Ale kiedy tak się stało...

GABRJELA

*wchodząc z lewej strony, do ŁECHCIŃSKIEJ*

Proszę do mamy... prędko!

ŁECHCIŃSKA

Oho! *półgłosem* Niech pan będzie łaskaw postarać się zkąd chce... ja nie mogę już patrzeć dłużej na to wszystko

*Odchodzi na lewo.*

## SCENA VIII

GABRJELA, SZAMBELANIC.

GABRJELA

*idzie prędko do szambelanica i całuje go w rękę*

Mój ojczcie!

SZAMBELANIC

Moja Gabrjelciu, tylko proszę cię, żadnych scen melodramatycznych, bo.. co się stało to się stało.

GABRJELA

Nie. Ja przychodzę tylko przeprosić ojca za to, że z mojego powodu byliście narażeni na tyle nieprzyjemności i na taki zawód. Mama wyrzucała mi to już gorzko, ale sędzę...

SZAMBELANIC

Cóż ci matka wyrzucała?

GABRJELA

Że nie miałam taktu w zachowaniu się z narzeczonym, i że nie potrafiłam go przywiązać do siebie z *wybuchem płaczu zsuwając się ojcowi do kolan i ściskając je* To było nad moje siły! zdawało mi się że skazaną na śmierć!

SZAMBELANIC

*żywo, podnosząc ją*

Zakazuję ci myśleć o nim!... a! odetchnąłem, gdy tak się rzeczy mają! ja myślałem, że ty mi chcesz robić wyrzuty o to zerwanie, i... miałem do ciebie żal... czy pretensję... sam nie wiem jak to nazwać, ale byłem niekontent z ciebie.

GABRJELA

O! bo też zawiniłam.

SZAMBELANIC

No! już to oboje nie mamy czystego sumienia i moglibyśmy sobie nie jedną zrobić wymówkę... lepiej porozumiejmy się. (prowadzi ją na kanapę) Widzisz, mnie tak te interesa przycisnęły, że nieraz musiałem się przemieszczać temu, co powinno być liczyć się dla mnie do artykułów wiary. Niech kto do mnie wyciągnął choćby najbrudniejszą łapę,

był z paczką banknotów, gotów byłem ją uściskać, chociaż wewnątrz coś mi się burzyło na to... Pieniądz jest wielką potęgą, dając człowiekowi możliwość utrzymania się na wysokości swoich zasad, i zaczynam wierzyć, że największą ze zbrodni, źródłem wszystkich innych jest trwonienie go bezmyślnie, bo tylko wyjątkowe natury zachowują godność w niedostatku. Masz przykład: byłem zagrożony sekwestracją, w ten ten się zjawiał jako wybawca.. i cóż? tego człowieka, na którego bym kiedy indziej nie spojrział, posadziłem na pierwszym miejscu przy stole... z musu odegrałem z nim niską komedię, *żywo* bo świadczę się Bogiem, że mi wówczas ani przez myśl nie przeszło to, co się później stało.

GABRJELA

O, ja sobie tego przebaczyć nie mogę... ale z początku widziałem to zupełnie inaczej; mama, nie powiem żeby mnie zmuszała, ale przedstawiła mi to w takim świetle... *żywo* a głównie przyczyniła się do tego Łechcińska.

SZAMBELANIC

O, ta baba!

GABRJELA

Byłam zbląkaną... powinnam była poznać go, od razu przyjąć jak na to zasługiwał, bo czułam do niego wstręt... na każdym kroku obrażał moje najdelikatniejsze uczucia... o, co ja wycierpiałam!

SZAMBELANIC

Biedaczka.

GABRJELA

*z płaczem rzucając mu się w objęcia*

Ja dla was robiłam tę ofiarę, ale czułam że mi braknie siły.

SZAMBELANIC

Czemużeś mi się nie zwierzyła, byłbym się postawił względem niego tak, żeby i nie zamarzył o zbliżeniu się do ciebie... *ustając, żywo* błazen jakiś... dziecko chciał mi zaprzepaścić *p. c.* Przebacz mi, to moja wina, powinienem był to spostrzedz... tem bardziej, że od razu mi się to nie podobało; ale byłem egoistą, przyznaję się do tego... przytem słabym, bezsilnym... może nawet nie chciałem widzieć... myślałem sobie, że potrafił ci się podobać, więc byłem kontent, że to... jakoś.. interesa się poprawią... Oj! te pieniądze...

GABRJELA

*nagle*

Ah! mnie to wszystko rozum odebrało!... gdy sobie wspomnę

*Zastania oczu rękami.*

SZAMBELANIC

No, cóż jeszcze? uspokój się... już się skończyło.

GABRJELA

Jak mogłam zdobyć się na podobny krok, z nim... to było chyba z rozpacz! on miał prawo mną pogardzić!

SZAMBELANIC

Kto?

GABRJELA

*z płaczem*

Władysław.

SZAMBELANIC

Nie rozumiem.

GABRJELA

Ojcie drogi, myśmy się kochali... najlepszy, najszlachetniejszy z ludzi, i ja dobrowolnie odrzuciłam te skarby serca jakie mi ofiarował, z zimną krwią zadałam mu taki ból, i jeszcze, jakby mało tego było... *szlocha; p. c.* co on sobie o mnie pomyślał!



SZAMBELANIC

*p. c.*

No, więc pójdziesz za niego, skoro tak. Dumnym będę z takiego zięcia... Najprzód, Czarnoskalski, a potem... on dojdzie wysoko, ja to czuję... jedyny człowiek, który może podnieść świetność naszego rodu... Maurycy przy nim.. e!... zdolność uniwersalna, obrotność w interesach... bo cóż on miał zaczynając? a dziś jak już stoi.

GABRJELA

I strzela się z mojego powodu!

SZAMBELANIC

On? mówiono mi o Maurycym.

GABRJELA

Obaj go wyzwali.

SZAMBELANIC

Tak? pierwsze słyszę.

GABRJELA

Ah! gdyby on miał zginąć.

SZAMBELANIC

Ale nie bój się, nie bój... nauczą tego błazna rozumu, i cała rzecz. Cóż ty myślisz, pojedynek... ja w młodych latach strzelałem się trzy razy i żyję... chociaż nie wiele brakowało... patrz, widziałeś ten znak od kuli

*Pokazuje na policzku.*

GABRJELA

Niewiedziałam że to w pojedynku... sądziłam...

## SCENA IX

*Poprzedzający, POLA p. c. DZIĘNDZIERZYŃSKI później SZAMBELANICOWA i ŁECHCIŃSKA.*

POLA

*wbiegając w lewej strony, do GABRJELI*

Papka wrócił!

*Biegnie do drzwi środkowych.*

GABRJELA

*niespokojna*

Sam?

SZAMBELANIC

*wesoło*

A! przywiózł chusteczkę, może teraz się uspokojemy.

POLA

*odpowiadając GABRJELI*

Zdaje mi się że sam... o Boże! co się tam stało? cała drzę.

SZAMBELANIC

Więc gdzież jeździł?

GABRJELA

*j. w.*

Na plac.

SZAMBELANIC

Na plac? papka! a to po co?

*Wchodzi DZIĘNDZIERZYŃSKI drżący i blady.*

POLA

*biegnąc do niego*

Cóż?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Na Boga! pomocy, ratunku, szarpnij!

SZAMBELANIC

Jakto?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ciężko raniony, jeżeli nie zabity.

POLA

*z krzykiem*

Maurycy?

GABRJELA

*podobnież*

Władysław?

*Razem*<sup>1</sup>.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Tak!

SZAMBELANIC

Więc któryż?

DZIEŃDZIERZYŃSKI

No, powiedziałem, Maurycy! alboż tam był i Władysław?

SZAMBELANIC

Mój syn!

GABRJELA

Mój brat!

POLA

Ah!

*mdleje*

SZAMBELANICOWA

*która przed chwilą weszła wsparta na ŁECHCIŃSKIEJ*

Ah!

*Słabnie.*

DZIEŃDZIERZYŃSKI

*pochwyciwszy POLĘ w objęcia*

Polu! moje dziecko!

ŁECHCIŃSKA

*sadzając Szambelanicewę na kanapie, z wyrzutem do szambelanica*

A co! mówiłam, prosiłam... zapobiedz, póki był czas.

*Placze mocno.*

SZAMBELANIC

*z mocą*

Moja pani, powiedziałem: milcz i nie wtrącaj się do rzeczy, które do ciebie nie należą.

Proszę mi przynieść kapelusz i laskę.

ŁECHCIŃSKA

*wychodząc n. s.*

O! poczekaj!

SZAMBELANIC

*idzie do okna*

---

<sup>1</sup>Razem — Pola z Gabrjelą wykrzykują w tym samym momencie. [przypis edytorski]

Konie stoją *do* DZIĘDZIERZYŃSKIEGO Może jest jeszcze ratunek? jakżeż to było?

DZIĘDZIERZYŃSKI

Zaraz, niech zbiorę siły.. jestem tak zdenerwowany, rozebrany... *je suis tout à fait déshabillé...* siada; *p. c.* przyjeżdżam na miejsce... furman powiada: to tu!... Pustkowie... okropna dzika ustron... wysiadam, patrzę.. Maurycy przekrada się przez gęstwinę... chciałem na niego zawołać, ale coś mi stanęło w gardle... nie mogłem.

SZAMBELANICOWA

*z kanapy, tonem wyrzutu*  
Ah! panie Dzieńdzierzynski.

DZIĘDZIERZYŃSKI

No, nie mogłem.. *wstając* w tem po chwili... rrrym! jak wypali z pistoletu..

SZAMBELANIC

Kto?

DZIĘDZIERZYŃSKI

No, Strasz... tuż, mnie pod nosem... nawet, nie wiem czy imaginacja, ale przysięgłbym, że jedno ziarno trafiło mnie tu gdzieś w klapę od surduta.

*Szuka.*

SZAMBELANIC

Cóż sąsiad gadasz? śrótem strzelali z pistoletów? *oglądając się* Ta nie wraca.

DZIĘDZIERZYŃSKI

*Comment?*... a prawda! no, to musiało mi się zdawać.

SZAMBELANIC

*niecierpliwie*  
Ale cóż dalej?  
ŁECHCIŃSKA *przynosi mu kapelusz i laskę*

DZIĘDZIERZYŃSKI

Natychmiast, już nie oglądając się wskoczyłem na bryczkę i przyleciałem pędem wiatru... po pomoc...

SZAMBELANIC

*rozgniewany*  
Samemu nic nie zrobisz!... a to wiesz sąsiadowi zimnej krwi.

DZIĘDZIERZYŃSKI

Mnie? zimnej krwi!... a wiecie państwo, to sławne! czyż szambelan nie widzisz, że się cały trzęsę.

SZAMBELANIC

Ale tym sposobem, to nawet sąsiad nie jesteś pewny, co się stało?

DZIĘDZIERZYŃSKI

Padł, padł... to jest fakt.  
MAURYCY *wchodzi głębią i zatrzymuje się we drzwiach.*

SZAMBELANICOWA

*z płaczem*  
Mój syn?

DZIĘDZIERZYŃSKI

*płacząc*  
Mój zięć, tak. Szambelanie, na Boga, śpiesz! (tuląc Polę) moja biedna córko!

## SCENA X

*Poprzedzający, MAURYCY.*

SZAMBELANIC

*który chciał wyjść*

A to co? *wstrzymuje śmiech oglądając się na DZIĘDZIERZYŃSKIEGO* Cóż ten twój papka tu nagadał?

MAURYCY

*połowauszy ojca w ramię, zbliża się do Dzieńdzierzynskiego*

Nieskończenie wdzięczny panu jestem za to, żeś mnie zrobił nieboszczykiem, bo miałem sposobność przekonać się, że byłbym żalowanym, gdyby na prawdę...

*Całuje w rękę POLĘ.*

DZIĘDZIERZYŃSKI

*osłupiały*

*Comment! ty żyjesz?*

MAURYCY

Mówisz pan takim tonem, jakby cię to nie cieszyło.

*Całuje go.*

DZIĘDZIERZYŃSKI

*machinalnie*

Jak się masz!

POLA

*z wyrzutem do ojca*

Ah! papko, jakże można było mnie tak zatrwożyć.

MAURYCY

*idzie do matki siedzącej na kanapie i całuje je w rękę*

Witam mamę.

SZAMBELANICOWA

*całując go w głowę*

Nie mogę przyjść do siebie *do DZIĘDZIERZYŃSKIEGO* Przyznam się, że żartować sobie w ten sposób z uczuć rodzicielskich, nie godzi się.

DZIĘDZIERZYŃSKI

Ale pani szambelanowo dobrodziejko, ja temu nic nie winien... jeżeli ten żyje, to chyba Władysław padł... musiałem się omylić.

MAURYCY

*całując się z GABRJELĄ*

Najzdrowszy w świecie... inaczej, czyżbyście mnie tu widzieli?

GABRJELA

*cicho*

Przyjedzie tu?

MAURYCY

Odjechał do domu.

*Wraca do POLI; GABRJELA odchodzi na bok, zamyślona.*

DZIĘDZIERZYŃSKI

No, to ja już nic nie rozumiem.

SZAMBELANIC

*Śmiejąc się.*

Koniecznie sąsiad uwziął się wyprawić jednego z nich na tamten świat, bo to jest!

DZIĘDZIERZYŃSKI

Ale za pozwoleniem... *permettez moi.*

SZAMBELANIC

Jakże się z tego wytłómaczysz?

ŁECHCIŃSKA

*do szambelanicowej, cicho*

To jakaś intryga.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Na Boga! sądźcie mnie... było tak:

SZAMBELANIC

*półgłosem do DZIEŃDZIERZYŃSKIEGO*

Mnie się zdaje, że było trochę strachu i widziało się to czego nie było... już to ziarnko śrótu wydało mi się podejrzanem.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ale szambelanie, jakże można przypuszczać... *comment peut on...*

SZAMBELANIC

Ze strachu, ze strachu.

DZIEŃDZIERZYŃSKI

Ale pozwólcieź mi mówić: któż był wyzwany? Strasz, prawda? więc któż miał prawo pierwszy strzelić? on!... a jak drugiego strzału nie było, cóż mogłem wnosić, no?... śmiecież się teraz.

SZAMBELANIC

Byłoby z czego, bo pokazuje się żeś sąsiad nie miał serca sprawdzić rzeczy naocznie *śmiejąc się Comment peut on?*

DZIEŃDZIERZYŃSKI

No, felczerem nie jestem.

SZAMBELANIC

*do MAURYCEGO*

Ale jakżeż się to odbyło? bo teraz na serjo nie wiem co myśleć.

MAURYCY

Ojczy, smutno mówić... *spostrzegając wchodzącego KOTWICZA* Ale oto jego sekundant... niech go się ojciec spyta.

## SCENA XI

*Poprzedzający, KOTWICZ.*

SZAMBELANIC

No, masz nam zdać relację.

KOTWICZ

Nie ma się o czym rozgadywać... dureń!

SZAMBELANIC

Nie może być! poznałeś się na nim nareszcie?

KOTWICZ

A jak się to odgrażało! Co to jest, gdy kto nie ma zasad wyssanych z mlekiem! Nie stanął wcale.

SZAMBELANIC

*półgłosem*

Czy to czasem nie twoja robota? Miałeś jakąś naradę z Łechcińską

KOTWICZ

Ale gdzież tam! Pojechałem ztąd prosto po niego, ale nie zastałem go już... ciepło gdzie co było... wyjechał za granicę zostawiwszy list, z którym posłał na plac fagasa. Złożyliśmy go w kilkoro i wbili kulą w drzewo.

MAURYCY

*śmiejąc się*

To Władysław tak się na nim zemścił.

SZAMBELANIC

*podobnie do DZIĘDZIERZYŃSKIEGO*

Sąsiedzie, do listu strzelali... DZIĘDZIERZYŃSKI *chodzi; do* KOTWICZA I cóż tam w nim było?

KOTWICZ

Zbłądził się do reszty... sens moralny był ten, że ponieważ załatwianie spraw honorowych za pomocą kuli uważa za głupotę, przeto jedzie przewietrzyć się do Paryża.

MAURYCY

Zkąd ma nam nadesłać napisaną przez siebie broszurę przeciw pojedyńkom — cynizm posunięty do ostateczności.

DZIĘDZIERZYŃSKI

*chodząc*

No, co w tem, to ma rację... bo też to głupstwo pierwszej klasy.

SZAMBELANIC

Ale mają w tej kwestji głos tylko ludzie nieposzlakowanego honoru, a nie lada jakiś tam szuja.

SZAMBELANICOWA

*do ŁECHCIŃSKIEJ*

Nie dobrze mi, odprowadz mnie... położeń się.

GABRJELA

*smutna*

Pójdziemy z mamą.

SZAMBELANIC

*do ucha GABRJELI, całując ją*

Bądź dobrej myśli, obadwa z Maurycym dołożymy wszelkich starań... żeby... rozumiesz mnie.

GABRJELA *całuje go z uczuciem.*

POLA

*do MAURYCEGO.*

Odprowadźmy mamę.

*Biegnie do niej; wychodzą na lewo* SZAMBELANICOWA, GABRJELA, POLA, MAURYCY *i* ŁECHCIŃSKA; KOTWICZ *siada na kanapie.*

SZAMBELANIC

*p. c. do DZIĘDZIERZYŃSKIEGO, stając przed nim*

No, cóż sąsiadku, serce bije jeszcze?... ha, ha, ha! nie chciałem przy wszystkich zanadto brać cię na fundusz, ale słowo uczciwości, warto było.

DZIĘDZIERZYŃSKI

Szambelanie, trzeba wszystko uwzględnić.. zkąd ja mogłem wiedzieć że jego tam nie było?

SZAMBELANIC

Należało się przekonać.

DZIĘDZIERZYŃSKI

Ten strzał zbił mnie z tropu.. nie uwierzysz szambelan jaki ja jestem nerwowo... dla mnie patrzeć na krew, to jest... męka Tantala.

SZAMBELANIC

Nie może być! ha, ha, ha!... paradny sąsiad jesteś. Na tę mękę zaaplikuję sąsiadowi lekarstwo.. mam tam jakąś zakonserwowaną butelczynę prawdziwego tokaju... napijemy się po lampeczce... co?

DZIEŃDZIERZYŃSKI  
No, to to z gustem.

SZAMBELANIC  
Chodźmy.  
*Wychodzą na prawo.*

## SCENA XII

KOTWICZ

*sam; siedzi na kanapie; po chwili milczenia*

Dureń jakiś! rachowałem na pewno, że będę miał wygodny kąt u niego w Zagrajewicach... tymczasem djabli wzięli.. a tu znowu nie warto dłużej popasać, skoro, rzecz prosta, muszą się wziąć do oszczędności... *p. c. wstając* Ha! Łechcińska wygrywa proces, podobno najpraktyczniej będzie z nią skończyć... widocznie tak chciało przeznaczenie... brrr! ofiara bo ofiara, ale czas też już nareszcie człowiekowi przestać być pasożytem... na cudzej łasce..

*Chodzi. Zastona spada.*

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rozbitki>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Bliziński, *Rozbitki*, nakł. księgarni F.H. Richtera, Lwów 1882.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikizródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikizródła.

ISBN 978-83-288-0087-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).